

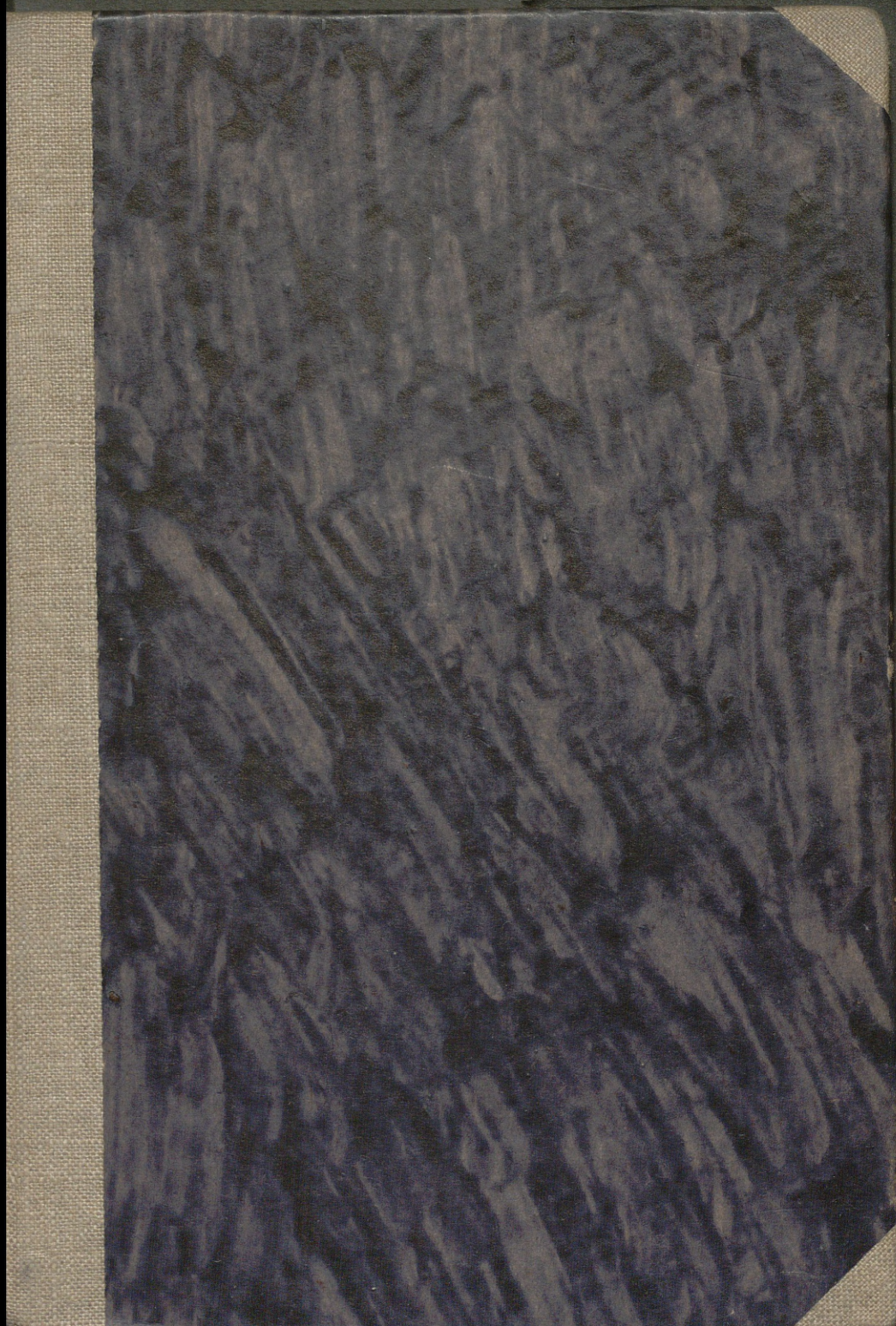
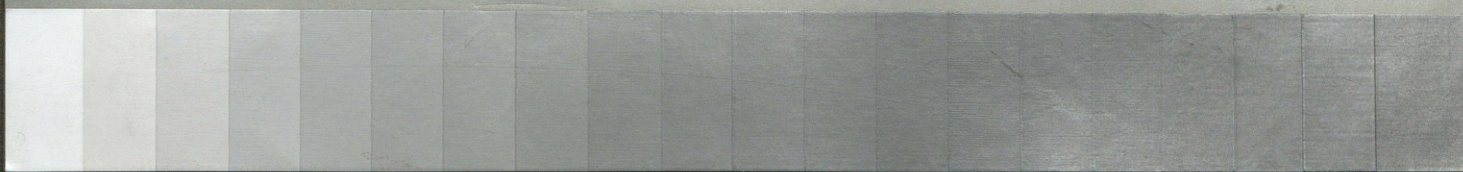


Grey Scale #13



DANES-PICTA .COM

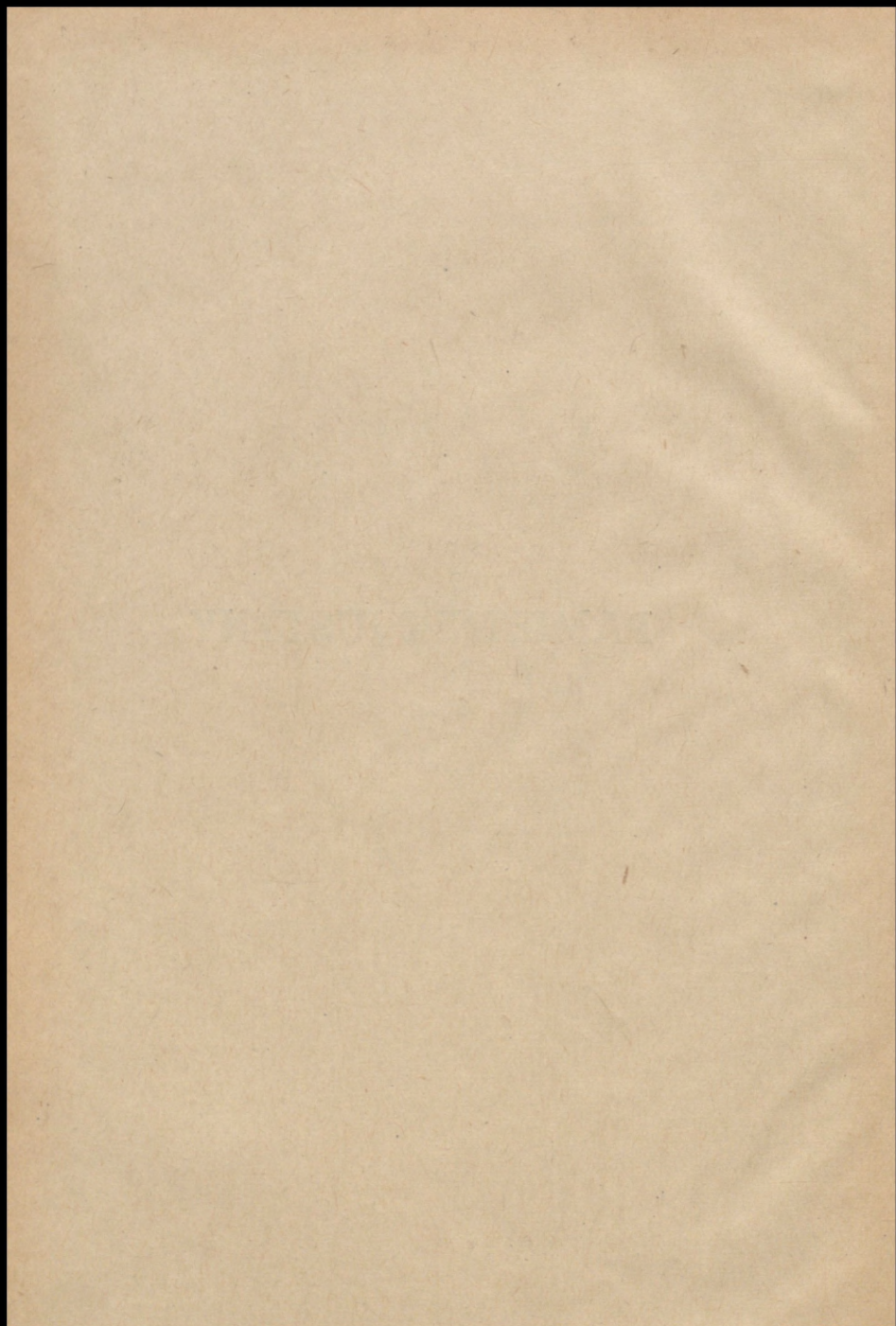
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19







PAMIĘTNIK JUSTYNY



GUSTA DAWIDSOHN-DRAENGEROWA

PAMIĘTNIK JUSTYNY

KRAKÓW 1946

**KSIĄŻKI WOJEWÓDZKIEJ ŻYDOWSKIEJ KOMISJI
HISTORYCZNEJ W KRAKOWIE**

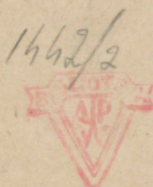
Nr 2

KOLEGIUM REDAKCYJNE:

MICHAŁ M. BORWICZ

N E L L A R O S T

J Ó Z E F W U L F



**CENTRALNA ŻYDOWSKA KOMISJA HISTORYCZNA PRZY
C. K. ŻYDÓW POLSKICH — ODDZIAŁ W KRAKOWIE.**

Drukarnia I. pod Zarządem Państwowym, Kraków, Wielopole 1.

M—05632

„Pamiętnik Justyny” jest pierwszą z planowanych przez nas publikacji, mających na celu zapoznanie czytelnika z nurtami i zjawiskami oporu i czynnej walki Żydów pod hitlerowską okupacją w Polsce. Przed innymi pracami na ten temat ogłaszamy go dlatego, ponieważ związany jest z terenem krakowskim.

Rękopis „Pamiętnika Justyny” składa się z pliku skrawków papieru toaletowego różnych rozmiarów i kształtów. Takie tylko mogła autorka zdobyć w więzieniu, gdzie utwór powstał. Sam tekst, pisany ołówkiem chemicznym, jest zupełnie wyraźny i czytelny. Pewne fragmenty, wypełnione obcym charakterem pisma, były — jak stwierdzają pozostali przy życiu jej współtowarzysze celi — dyktowane przez autorkę. Na fragmentach tych istnieją zresztą własnoręczne dopiski i poprawki samej Justyny. Wynika z tego, że ustępy te autorka korygowała. Zresztą obcy charakter pisma urywa się czasem i w połowie zdania, za czym następuje już pismo samej autorki.

Poszczególne pliczki tych trójkątnych, prostokątnych i pozostałego kształtu toaletowych bibulek, przegradzane są innymi skrawkami z zaznaczonym przez autorkę następstwem rozdziałów. Tymi papierowymi klamerkami zabezpieczyła Justyna rękopis przed pomieszczeniem, to też jego rekonstrukcja nie przedstawiała trudności.

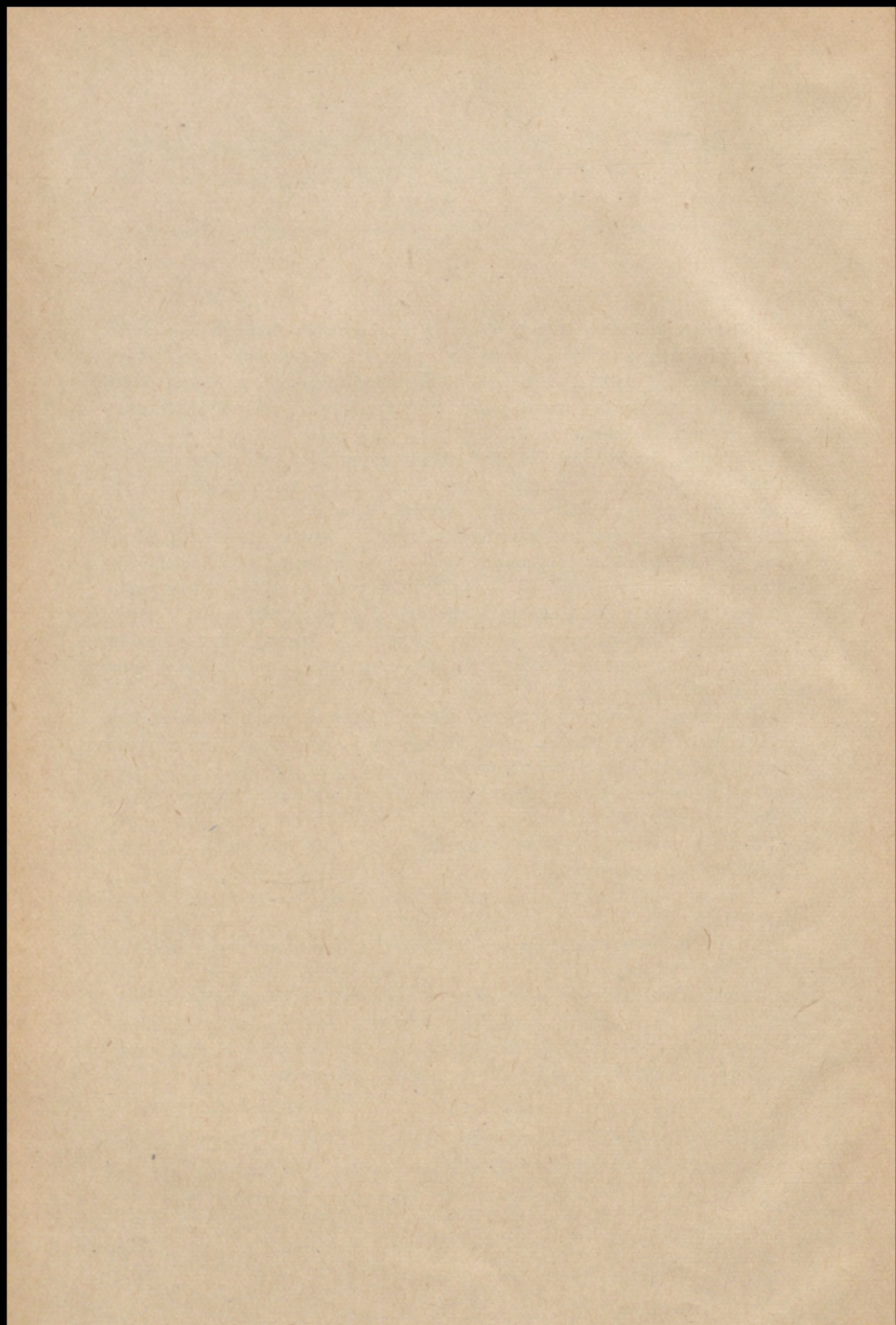
Luki w rękopisie i słowa, których — wskutek zatarcia — odczytać nie zdołaliśmy, zaznaczono.

Wstęp, oraz zamieszczone na końcu książki objaśnienia, napisał Józef Wulf.

Liczbę w tekście odnoszą się do objaśnień, zamieszczonych na końcu książki. Osoby niezidentyfikowane pozostawiono bez objaśnień.

Pamiętnik oddała do dyspozycji Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie organizacja Syjonistów-Demokratów „Ichud”. przy czym Bernard Johannes, towarzysz partyjny autorki z okresu przedwojennego i z okresu okupacji dołączył swoje pozgonne.

Kolegium Redakcyjne



I

12 grudnia 1941 roku delegatura Żydowskiej Samopomocy Społecznej we Wiśniczu Nowym (8 km od Bochni) wysłała list do szefa gestapo, w którym między innymi pisała:

„Prosimy o zatwierdzenie nam kursów, mających na celu rolnicze przeszkolenie młodzieży żydowskiej jakoteż o udzielenie nam zezwolenia na założenie farmy w Kopalinach“.

Ani szef gestapo, ani bocheński „Landskommissar“ nie przeczuwali, że zatwierdzają w ten sposób żydowską grupę bojową, która tą drogą próbowała uzyskać swobodę ruchów i możliwości działania.

Jako wykładowców zatwierdzono Szym szona Draengera, jego żonę Gustę, literata Juliusza Feldhorna i mnie. Kierownikiem farmy w Kopalinach ustanowiono Szym szona Draengera, zwanego powszechnie Symkiem.

Nikt z prezydium*) Żydowskiej Samopomocy Społecznej w dawnym „Generalnym Gubernatorstwie“ nie wiedział, że zasiadający w ich gronie Dolek Liebeskind objął referat przeszkolenia rolniczego w tym tylko celu, by utrzymać w ten sposób legalny kontakt z grupami młodzieży.

Nie wiedzieli też, że w kopertach Żydowskiej Samopomocy Społecznej znajdują się pierwsze odezwy i instrukcje „Żydowskiej Organizacji Bojowej w Krakowie“, które razem z urzędową pocztą rozsyłano w różne strony.

*) Oprócz Dra Hilfsteina.

W kwietniu albo maju 1942 roku Dolek Liebeskind przybył do Wiśnicza Nowego.

W imieniu swojej centrali konferował oficjalnie z „Judenratem“ i innymi oficjalnymi komitetami, ale nocą, przy zamkniętych drzwiach i okiennicach, odbyło się pierwsze posiedzenie.

Czytaliśmy wtedy biuletyn, przesłany do nas z Warszawy, zawierający wiadomości o aucie gazowym w Chełmnie i o innych morderstwach Niemców, dokonywanych na Żydach na terenach zajętych przez nich na wschodzie. Postanowiono zachować czujność i konsolidować grupy młodzieży, której należało objaśnić ogólne położenie Żydów. Dolek odjechał.

Na kursach rozprawialiśmy o hitleryźmie i jego proroku, ale na stołach leżały zawsze książki obojętnej treści jak botanika, zoologia, chemia i podobne; chłopcy i dziewczęta w zdumieniu przysłuchiwali się przemowom prelegentów. Oczywiście, że liczba kursistów była ograniczona, po prostu ze względów ostrożności.

Po 6-ciu tygodniach wybrano 10-ciu najpewniejszych chłopców spośród słuchaczy, których — rzekomo już teoretycznie przygotowanych do pracy praktycznej — wysłaliśmy do Kopalin (wieś między Bochnią i Wiśniczem Nowym). Faktycznie przez cały dzień pracowano w Kopalinach, ale z nadejściem nocy załatwiano pocztę, biuletyny itd., które już wtedy rozpowszechnialiśmy.

Od czasu do czasu Symek i ja jeździliśmy do Krakowa, zgłaszaliśmy się w prezydium Żydowskiej Samopomocy Społecznej, żądając pomocy materialnej i przy tej okazji porozumiewaliśmy się z Dolkiem w naszej sprawie.

Na zewnątrz cała rzecz wyglądała niewinnie, mimo to w Wiśniczu Nowym Żydzi zaczęli szemrać, że w Kopalinach coś nie jest w porządku. Doszło do tego, że „Judenrat“, który w większości składał się ze sprzedawców, ostrzegł nas, iż należy zlikwidować farmę. Mieliśmy jednak poparcie prezydium Żydowskiej Samopomocy

Spolecznej, które nie orientowało się zupełnie i broniło nas jako swoich współpracowników. Bo też w gruncie rzeczy mieliśmy przecież pieczęcie i oficjalne zatwierdzenie szefa gestapo.

Ale i my sami nie byliśmy jeszcze zdecydowani, co należy czynić. Zastanawialiśmy się i rozprawialiśmy o środkach i celach, a nasze dyskusje zakreślały kontury przyszłych wypadków.

Szukano kontaktów.

Każdy z nas aż do tej chwili pogrążony był w swoim własnym świecie zainteresowań, ale z walką praktyczną nie miał dotychczas nic wspólnego.

Nie dowierzaliśmy więc swym własnym siłom, a żaden z nas nie miał ani szkoły ani rutyny wojskowej.

Początkowo też nie orientowaliśmy się w istniejących już możliwościach konspiracyjnych polskich organizacji bojowych.

W tym czasie Dolek i Symek spotkali się z Golą Mirer, komunistką, która była później pomocna przy nawiązywaniu kontaktów Ż. O. B. z polskim ruchem podziemnym w określonych akcjach. Później dokooptowano Labana do obrad.

Aby zrozumieć jednak treść i pojąć nastrój pierwszych posiedzeń, konieczną jest charakterystyka wspomnianych działaczy Ż. O. B. (Żydowska Organizacja Bojowa).

Dolek (Adolf Liebeskind, Jan Ropa) intelektualista i prawnik, był generalnym sekretarzem organizacji młodzieży syjonistycznej „Akiba”. W pracy surowy i zdecydowany, żądał od siebie i drugih poświęcenia wszystkiego, co najdroższe. Do każdej akcji bojowej zgłaszał się pierwszy, chociaż właśnie Symek był do tego bardziej predestynowany.

Symek (Szymson Draenger, Marek Borowski) był

wszechstronnie wykształconym młodzieńcem, redaktorem „Diwrej Akiba“ („Hasła Akiby“). Typ bojowca, gardził wszelkim sentymentalizmem. Pomocną mu była żona, Gusta „Justyna“ (również działaczka organizacji „Akiba“) więziona wraz z nim w obozie koncentracyjnym w Opawie w pierwszym roku wojny. Współpracowała z mężem w konspiracji.

Laban (Abraham Leibowicz, Romek) jeden z działaczy organizacji socjalistyczno-syjonistycznej „Dror — Frajhajt“. Łączył w sobie młodzieńczy entuzjazm z wielką odwagą.

Najmłodszym wśród nich był członek „Akiby“ Maniek Eisenstein.

Od samego początku pracy uważano za jedyną drogę działalności udanie się do lasu z bronią w ręku. Nęciły legendy opowiadane o istniejących grupach partyzanckich. Rozpoczęto praktyczną robotę.

Siedzibą kierownictwa było ghetto w Krakowie.

Dolek wziął na siebie zdobywanie broni, szkolenie wojskowe, wysyłkę grup do lasu itd.

Zadaniem Symka było zorganizowanie biura technicznego.

Laban przejął referat zdobywania środków pieniężnych na cele organizacji.

Bardzo trudno jest docenić wielkie przeszkody przy organizowaniu żydowskiej konspiracji w czasie hitleryzmu. Praca nasza była po stokroć trudniejsza niż praca każdej innej grupy konspiracyjnej, bo musieliśmy ukrywać nie tylko naszą podziemną działalność, ale również i przede wszystkim tać nasze żydostwo.

Kierownictwo zdecydowało nie liczyć się z żadnymi trudnościami, ani nawet z niemożliwościami i działać. Zdecydowano uczynić pierwszy krok w realnej ro-

bocie, który miał przerwać apatię i bierność mas żydowskich.

Pierwsza grupa wysłana przez Dolka do lasu składała się z 6-ciu młodych chłopców. Samuel Gotlieb, Baruch Weksner, Edwin Weiss, Salo Kanał, Zygmunt Mahler, Fiszel (nazwiska nie pamiętam). Historia ich jest krótka. Wkrótce po ich przybyciu do lasu, ktoś z mieszkańców wsi podał do niemieckiej żandarmerii, że w lesie przebywa 300 (!) partyzantów. Niemcy otoczyli las, strzelali na chybił trafił, a po jakimś czasie oddalili się. Następnej nocy napadli nasi chłopcy na dom policji. Policja, sądząc że jest to napad wielkiej grupy, zabarykadowała się w domu i uniemożliwiła dostęp garstce bojowców. Kilka dni później, nocą — kiedy znaleźli się w domu niedaleko lasu, znowu na skutek donosu weszło trzech uzbrojonych Niemców. Wywiązała się wzajemna strzelanina, dwóch Niemców padło, ale mimo to pierwsza próba bojowa nie udała się, a tylko jeden (Zygmunt Mahler) uniknął śmierci. Główną przyczyną niepowodzenia był brak broni. Cała grupa miała tylko dwa rewolwery, za pomocą których miano dopiero zdobyć dalszą broń.

To jednak posłużyło jako przestroga na przyszłość. Nauczono się, że głównym zadaniem musi być zdobycie broni w większej ilości, a oprócz tego zdecydowano się, że względu na porę jesienną i związane z tym trudności działalności partyzanckiej, pracę obecnie skoncentrować w mieście.

Symek mieszkał wtedy w Myślenicach, założył tam biuro techniczne, a następnie przeniósł je do Rabki. Swoją pracą umożliwiał swobodne poruszanie się za pomocą przepustek kolejowych, zezwoleń na wejście do ghetta, zagranicznych papierów, dokumentów aryjskich (Kennkarty) itp. Wszystkie te dokumenty były tak dobrze podrobione, że urzędnicy nie wierzyli, że to nie są ich własne podpisy.

Juda Tennenbaum dostarczał oryginalnych blankietów, które wykradał z urzędu gestapo; Symek zużywał

swój cały rysowniczy i techniczny talent, by sporządzić dokumenty, które bez reszty naśladowały oryginały.

Biuro techniczne przynosiło duże dochody. W ten sposób pomagał Synek w pracy Labanowi. Nikt nie wiedział, skąd Laban zdobywał pieniądze. Wchodził zawsze do pokoju z mądrym uśmiechem, jakby z innej planety i bez słowa kładł na stole obce waluty, polskie pieniądze i złoto. Milezał i uśmiechał się.

Jak wspomniano, zrezygnowano chwilowo z pracy w terenie. Nowy rozkaz polecał działać w Krakowie, który był siedzibą władzy okupantów.

Pierwszego Niemca zlikwidowano na 'plantach, na odcinku między ul. Starowiślną a ul. Sarego. Czynu tego dokonał Dolek.

Także w późniejszych akcjach przeważnie brał on udział. Niemcy padali na ulicach Krakowa, na Błoniach zginął lotnik niemiecki. Na torze Kraków—Bochnia rozkręcono szyny kolejowe.

To był dopiero wstęp.

Żydowska Organizacja Bojowa porozumiała się w ghetcie z frakcją P. P. R., na której czele stał Hersz Bauminger. Wspólnie z P. P. R. dokonano aktu, który poruszył władze niemieckie.

23. 12. 1942 roku żydowscy bojownicy rzucali granaty do kawiarni* (,Cyganeria“ i inne). Dziesiątki Niemców padło i zginęło z ran, żydowskie dziewczęta i żydowscy chłopcy rozlepiali odezwy antyniemieckie i wywieszali białe-czerwone chorągwie. Wrażenie było silne, przesunięto godzinę policyjną na 6-tą. Wzmógł się represje. Wśród gestapowców panowało wielkie zdenerwowanie, ponieważ był to okres rzucania granatów na

* W tej akcji brał też udział komendant powstania w ghetcie warszawskim Icchak Cukierman (Antek).

główny dworzec w Warszawie, do kawiarni Wehrmachtu w Kielcach, do kina w Radomiu itd.

Równocześnie gestapo zmobilizowało cały swój aparat i natrafiło na ślad grupy, która ukrywała się w ruinach szpitala na ulicy Skawińskiej. Między ukrywającymi się był Laban. Cała ta grupa wpadła w ręce niemieckie. Za pomocą agentów gestapo uwięziono również Aleksandra Goldberga (Alek), który przebywał w mieszkaniu kontaktowym przy ul. Wielopole 26.

24 grudnia 1942 roku Juda Tennenbaum, nie wiedząc nic o tym, co się stało, przyszedł do budynku żydowskiego szpitala z instrukcjami od Dolka i dostał się również w ręce gestapo. Na jego polskiej „Kėnnkarcie“ znajdował się adres mieszkania, gdzie przebywał Dolek. W ten sposób Adolf Liebeskind, który jak bohater opuścił ghetto (vide „Pamiętnik Justyny“ str. 109) zginął po bohatersku. Kiedy bowiem gestapo przyszło do niego na ul. Żuławskiego, dwóch Niemców zranił, dwóch zabił, po czym padł od kuli niemieckiej.

Nikt z tych, którzy wpadli w ręce Niemców, nie zdradził swoich towarzyszy. Natomiast agenci gestapo Natan Weissman i Julian Appel, którzy współpracowali w organizacji jako prowokatorzy, wydawali w ręce gestapo jednego po drugim. W ten sposób ujęto też Szymka i innych, a pozostała ostatnia grupa w Bochni została arestowana 13 marca 1943 roku.

29 kwietnia 1943 roku wyprowadzono część więźniów z Montelupich na rozstrzelanie. Szymшон Draenger zdołał uciec. Labanowi nie udało się próba ucieczki. Na cmentarzu żydowskim przy ul. Jerozolimskiej, na miejscu masowych egzekucyj żydowskich, rzucił się on na SS-mannów i bronił się gołymi rękami. Dopiero dziwiąta kula położyła kres jego życiu.

Symek (odtąd Wiktor) wrócił do okręgu bocheńskiego, gdzie spotkał się z Justyną, która w tym samym czasie uciekła z więzienia. Oboje razem z Hilelem Wodzisławskim zorganizowali w okręgu bocheńskim na nowo

żydowskie grupy bojowe i redagowali konspiracyjną gazetkę „Hechaluc Halochejm“ („Pionier w walce“).

W listopadzie 1943 roku Symek i Gusta znikli. W jaki sposób zginęli, nie wiadomo. Pewne jest tylko to, że dostali się w ręce Niemców. Tym samym zlikwidowana została Żydowska Organizacja Bojowa w Krakowie.

II

Pamiętnik, który oddajemy czytelnikom, pisała żona Symka Draengera, 25-letnia Gusta (z domu Dawidsohn) w więzieniu krakowskim przy ul. Helelów, w czasie od stycznia do kwietnia 1943 roku.

Gusta („Justyna“) była kobietą młodą, ładną i subtelną. Kobięce cechy przeniknęły jej istotę i wycisnęły piętno na całym jej charakterze.

Miłość do Symka dokonała w niej ważnej przemiany. Symek przy swojej młodości był bowiem typem człowieka oschłego, uznającego tylko życie twarde, zgodne z zasadami i ideami. Człowiekowi temu imponować mogła wyłącznie samodzielność, jasne i zdecydowane zrozumienie życia, oddanie się bez reszty idei i silny duch bojowy.

Toteż często zetknięcie serdeczności jej duszy i spokoju jej serca z surowością zasad jej męża kładło się cieniem na jej jasnym usposobieniu.

Z chwilą powstania Żydowskiej Organizacji Bojowej w Krakowie, Gusta-Justyna była duszą wszystkich przedsięwzięć konspiracyjnych i niejeden czyn bojowy był wynikiem jej inspiracji i działalności.

Prowadziła robotę techniczną, wyszukiwała meliny dla niedoświadczonych rewolucjonistów, towarzyszyła pierwszym grupom bojowym do lasu, brała udział w licznych obradach komendy, zносиła zewsząd rewolwery i... eicho cierpiała nad tym, że jej mąż Symek nie miał dla niej czasu. Cierpiała, ale go rozumiała. Cierpiała, ale



G. Draengerowa (Justyna)

IV. Sedy Jazyna przyschala, do Krakowa, cotta manyra byta, ni
prowania r. uch. Kancelar 23 T. ~~ni~~ ni piewany chodki, sedy
dotadaj sy do diadlowy.

Engelhardt stouhou i rybníku, pro který prodává
tanápek, ale k tomu není dostatek rybníků
a má i další majetek - pro ty cizince
koupil před tím, kilometrů před tím -
a k tomu majetek v jiných. A tímto
majetkem vlastní rybník a mnoho jiných
a majetkem svých, který sám je
proskládá také ne má. Hic majetek
k tomu, a tímto tímto, a tímto,
a tímto tímto tímto - tímto
má. Tímto tímto tímto tímto
a tímto tímto tímto tímto

Kartka rękopisu
„Pamiętnika Justyny”

opromene. ~~PRO~~ Procton, doordien
betonmij, intrinsieke, jellum
me, ~~beton~~ sluis, tui
betonmij, pouders
nag, formules
demonstr.

silniej jeszcze pobudzała go do dalszej walki. Trwało to dopóty, aż Symek w styczniu 1943 roku został aresztowany. Wtedy otrzymałem od Gusty-Justyny list, zakończony słowami:

„Chciałabym Ci opisać epopeję mojego życia i śmierci, która już nastąpiła“.

Miałem złe przeczucie, od razu posłałem łącznika z bezwzględny nakazem sprowadzenia jej do mnie do Bochni. Justyna miała przecież w swoim ręku wszystkie nici sprawy i jej agendy. Ale nazajutrz łącznik wrócił z wieścią, że żona Symka zgłosiła się dobrowolnie na policję.

Pragnęła jeszcze raz zobaczyć się z mężem.

Gdy po jakimś czasie znalazłem się z Symkiem w więzieniu krakowskim Montelupich, ten opowiadał mi, że kiedy w chwili przesłuchania skonfrontowano go z Gustą u szefa gestapo, który chciał — wskazując na jej rany i sińce — wymusić na nim zeznania, Gusta-Justyna dumnie oświadczyła:

„Tak, zorganizowaliśmy żydowskie grupy bojowe i przyrzekamy wam, że jeżeli uda nam się umknąć z waszych rąk, zorganizujemy o wiele silniejsze niż dotychczas grupy partyzantki“.

Zapamiętałem sobie dobrze te słowa, zrozumiałem też, że Gusta-Justyna takimi słowami i takim wystąpieniem chciała zrehabilitować kobietę bojownika wobec kobiety kochającej, która samorzutnie zrezygnowała z wolności i możliwości walki bojowej i sama oddała się w ręce policji.

Ludzie z konspiracji donosili nam do więzienia, że Gusta-Justyna organizuje nawet w swojej celi więziennej demonstracje przeciwko Niemcom, że śpiewa rewolu-

cyjne pieśni, że lekceważy niemieckich sadystów, którzy żywcem wyrrywają jej włosy z głowy.

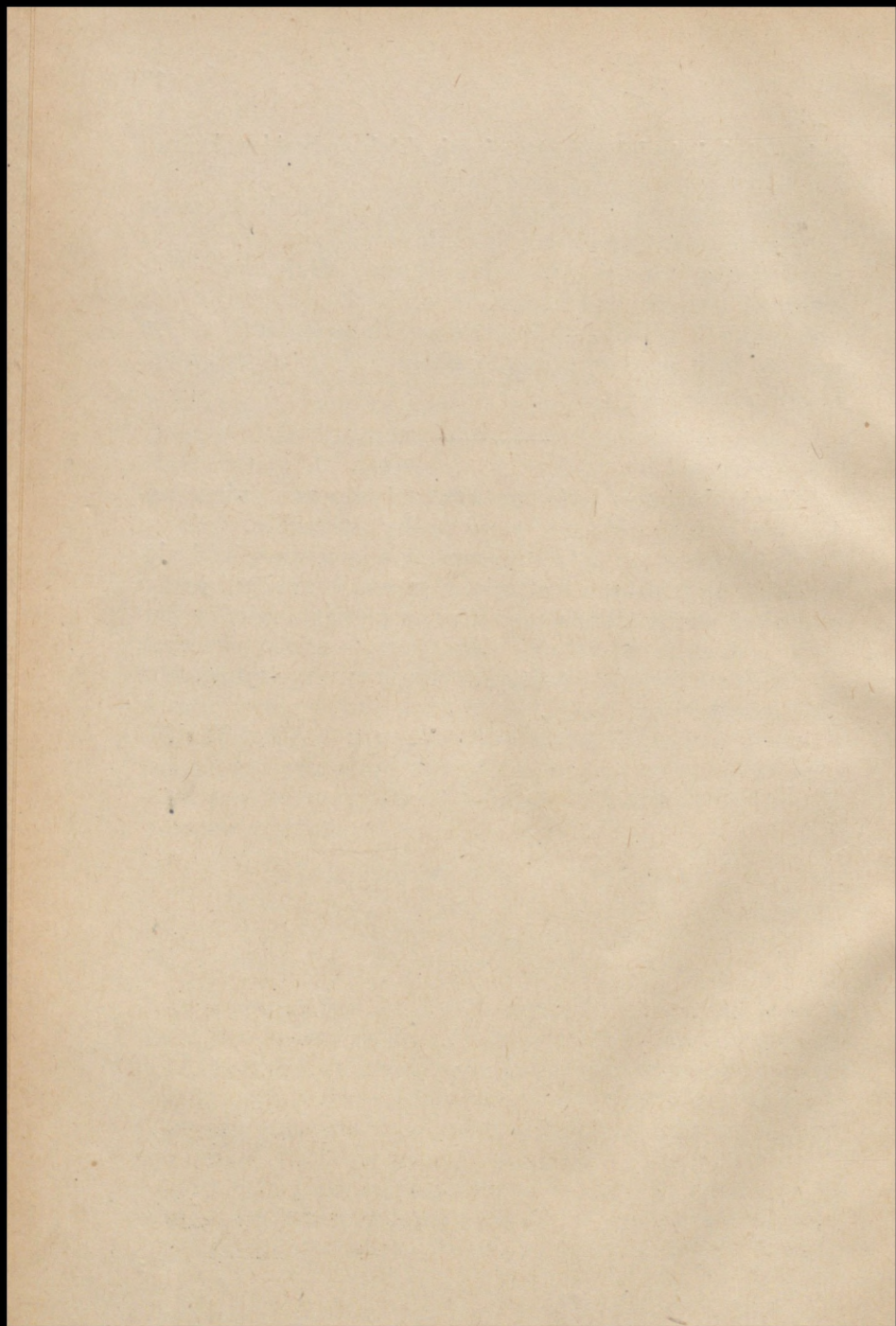
Z początkiem kwietnia 1943 roku Symek tą samą konspiracyjną drogą przesłał żonie swojej rozkaz ucieczki z więzienia. Oboje byli bojownikami, oboje namiętnie waleczyli o wielką sprawę, oboje marzyli o dalszej walce przeciwko Niemcom — i oboje uniknęli śmierci w tym samym dniu, aż parę miesięcy później oboje zginęli z rąk katów niemieckich.

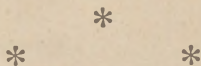
Gusta-Justyna była naturą artystyczną, niejednokrotnie pokazywała mi swoje próby literackie.

Także i ten pamiętnik, pisany w więzieniu wśród nieludzkich niemieckich warunków, wśród krzyków i jęków więźniów na świstkach toaletowego papieru, między jednym a drugim przesłuchaniem, jest — mimo pewnych jeszcze tu i ówdzie stylistycznych usterek — dowodem jej literackich zdolności.

Józef Wulf

Kraków, w październiku 1945 r.





Towarzyszka nasza Gusta Draengerowa napisała w celi więziennej pamiętnik, który przed ucieczką zdążyła uporządkować, schować do blaszanego pudełka i ukryć w piecu. Przy pierwszej sposobności przyjaciele nasi wydobyli go, zachowali i przekazali mnie.

Czytając rękopis, podziwialiśmy staranność literacką, znaną nam zresztą z redagowanego przez autorkę syjonistycznego pisma młodzieżowego „Ceirim” („Młodociani”), będącego organem „Akiby”. Ale godnym podziwu jest fakt, że siedząc w więzieniu gestapo, poddana wszystkim wyrafinowanym szykanom policji niemieckiej, zachowała dbałość o formę, poprawność i czytelność rękopisu. Na szczególne podkreślenie zasługuje objaśnienie autorki, dlaczego o akcjach bojowych wspomina tylko ogólnikowo: pamiętnik był pisany w czasie, gdy toczyło się jeszcze śledztwo, więc była wskazana ostrożność.

Pisany w więzieniu pamiętnik jest wyrazem postawy tej części świadomej młodzieży żydowskiej, która nie chciała ugiąć karku przed niemieckim zbrodniarzem, niosąc wysoko sztandar walki o godność i honor narodu. Walka ta była protestem przeciwko bezczynności i obojętności świata. Nie była przy tym aktem rozpacz. To był świadomy i zorganizowany czyn, pojmowany, jako część całości, jako jedno ogniwo w łańcuchu ruchu oporu. Bojowcy mieli nadzieję, że płomień ich buntu ogarnie świat, który wystąpi przeciwko terrorowi niemieckiemu. Mówi o tym Szymшон Draenger, mąż Gusty-Justyny: „W każdym kraju tkwi zarzewie buntu, wystarczy rozpłomienić go w jednym kraju, aby ogień ogarnął Europę,

a wtedy jesteśmy jednym ogniwem w wielkim łańcuchu". Walka młodzieży żydowskiej, miała być wkładem trudu i krwi bojownika żydowskiego w walce przeciwko zbrodni niemieckiej.

Młodzież bojowa nie dbała o przetrwanie okrutnej wojny. I nie wierzyła w to. Na jednym „powitaniu soboty” powiada najaktywniejszy z bojowców, członek kierownictwa Adolf Liebeskind: „Z naszej drogi nie ma powrotu. Kroczymy szlakiem śmierci; kto pragnie życia, niech go nie szuka wśród nas; my jesteśmy u kresu, tylko, że nasz kres nie jest zmierzchem; nasz kres jest śmiercią, której silny człowiek idzie sam na przeciw”.

Główne postacie tego dramatu wojny nie przetrwały. Ludzie ci żyli i zginęli jak bohaterzy.

Bernard Johannes

PAMIĘTNIK JUSTYNY

Gdy Justyna przyjechała do Krakowa, cała maszyna była już puszczona w ruch. Uderzyło ją to w pierwszej chwili, gdy dostała się do dzielnicy.

Przyjechała strudzona i wyczerpana po całotygodniowych tarapatach. Od kilku dni w ciągłych rozjazdach, noc w noc w innej miejscowości, przy tym co dzień wstawać przed świtem, kilometry przebywać pieszo — i żyć w bezustannym napięciu nerwowym. Z otoczonego policją miasteczka musiała wyciągać z narażeniem życia swoich najbliższych, którzy sami już poradzić sobie nie zdołali. Więc najpierw Witka¹⁾, a potem matkę starą, aż wreszcie, w ostatniej już niemal chwili — rodziców Marka²⁾. Trwało to kilka zaledwie dni; wysiłek ten był tak wielki, ciągle niebezpieczeństwo tak poważne, że Justynę wyczerpało to ogromnie. Przy tym środki lokomocji, utrudnione połączenia, dziesiątki kilometrów przebywanych furmanką i dorożką, to znów dla kontrastu motocyklem, wyczekiwanie godzinami na stacjach kolejowych, po nieprzespanych nocach, przy ciągłym strachu o swoich najdroższych, których się musi, musi ratować — wszystko to razem sprawiło, że Justyna — choć szczęśliwa i pełna zdrowego samopoczucia — z trudem dowlokła się na spuchniętych nogach do dzielnicy.

Oczy miała podkrążone, twarz dziwnie bladą i tylko jedno w niej było marzenie: położyć się do łóżka i spać, spać choćby tydzień cały. Ale gdy tylko zbliżyła się do drutów kolczastych i gdy usłyszała gwar bijący z gęsto zarojonych ulic, gorąca fala uczucia napłynęła do serca i zmęczenie prysło, jak bańka mydlana. Już zza kolczastej balustrady wзираła do niej ta i owa znajoma twarz, zresztą wszystkie te znękanе oblicza były dziwnie drogie i bliskie. Więc też ogarnęła ją gorąca chęć uściśnięcia tych wszystkich, których nie widziała od roku blisko i tych, z którymi rozstała się przed tygodniem zaledwie.

Jakże rojno było teraz w Krakowie! Ta dzielnica, która przed miesiącem zaledwie przeżyła największą burzę, skąd uciekano na wszystkie możliwe strony, stała się teraz gwar-nym schroniskiem, do którego, niby do bezpiecznego azylu, uciekali się ludzie z najrozmaitszych miast. I słusznie stał się Kraków centralną siedzibą ruchu, bo w tej chwili nie było już więcej żadnego punktu. Ostatnia fala wysiedleń zmiotła do reszty wszystkie ostatnie skupienia. Tylko, że — nauczeni doświadczeniem — ludzie nie czekali już na ostatnią chwilę, ratowali się póki czas. Więc gdy się szło ulicą i raz po raz napotykało dawne znane twarze, mimo woli chciało się pytać: „a ty skąd się uratowałeś?”

Bo tak też było istotnie. To, co Justyna przeżyła w ciągu ostatniego tygodnia, to samo przeżywali wszyscy inni, uciekając z oblężonych miast — i to dokąd? Do drugiego, które za dzień dwa, spotykał ten sam los. Więc uciekało się ze wsi do miasta, a w kilka dni z miasta do miasteczka, a gdy znów akcja ustała, zakradło się do miasta z powrotem. Już nikt nie miał wątpliwości, że to był ratunek tymczasowy, że tak długo będą w kółko uciekać tam i z powrotem, aż sił zabraknie, albo ostatnie pieniądze się wyczerpią, lub — co też było najpewniejsze — „akcja” zaskoczy ich gdzieś nieprzygotowanych. Ale ratowali się mimo tej pewności, że to tylko na tydzień, lub dwa, przedłużają sobie życie. I może nie czynili tego dla samej chęci życia. Szczerze mówiąc, wszystkim już życie obrzydło, wszyscy mieli już dość tej ciągłej, panicznej ucieczki. I nieraz przyłapywali się na ukrytym pragnieniu, by to

się wreszcie skończyło, by ich raz zaskoczyło nagle, niespodziewanie, tak, by nie wyrzucać sobie, że się poddali. Ot, tego nie chcieli jedynie: poddać się.

„Wpadniemy w ich ręce wcześniej czy później — mawiali starsi, już zrezygnowani mężczyźni — ale nie musimy im przy najmniej ułatwiać roboty. Niech nas ścigają, żeby im przy najmniej trochę nerwów napsuć, aż nas złapią w pułapkę”.

Jeszcze w nich nie było bojowego ducha, który chciałby wrogowi stawić męski opór. Ale czemu się dziwić? Kto wraz z nimi nie przeżył trzech lat pomiatania, poniżania, szczucia i ciągłego chwywania się kurczowo życia, ten mógł ich z wyzyna swego wygodnego dobrobytu potępiać. Ale gdyby zajrzeć w te zamroczone dusze, zrezygnowane i obolałe, gdyby przez godzinę żyć w tej czarnej beznadziei i wiedzieć, że to wszystko i tak jest bezcelowe, że u kresu tego wszystkiego i tak wypisana jest ohydnyymi zgłoskami śmierć, musiało by się wtedy czuć tak, jak i oni, i powiedziawszy sobie: „niech będzie, co być ma” — czekać, aż to nastąpi. Inaczej było z młodymi. W nich się naprawdę rwało do życia i nie chcieli się poddać za nic. A ta chęć życia właśnie, parła ich do czynnego oporu. To było istotnie ciekawe. Bo pragnąc życia, nade wszystko gotowi byli pójść do walki, która przecież prowadziła na pewną śmierć. To była w nich ta niespożyta siła młodości, ta żywotność, która wznagała się, im cięższy był ich los.

Więc też uciekając przed wysiedleniem, wszyscy kierowali się na Kraków. Nie wiedzieli jeszcze nic o nowej decyzji. Żadnych okólników ani listów nie wysyłano przecież w tej sprawie. Ale wszyscy na odległość wyczuwali, że teraz się musi coś rozpocząć w ruchu, i że tam w Krakowie na pewno się coś gotuje.

Toteż gdy Justyna w niedzielę przed wieczorem weszła do dzielnicy, otoczył ją krąg jakiś swojski i domowy, i czuła, że tu jest jej miejsce. Ani śladu uczucia bezdomności, — uciekła przecież przed wysiedleniem — tylko poczucie bezpieczeństwa i — o ironio! — radości, że jest wreszcie wśród swoich. Było ciepło i miło, więc tłumy ludzi wylęgły na ulicę i gwar się niósł między wysokimi domami. Ktoś Justynę pro-

wadził przez wąską bramkę, ktoś ją ujął pod ramię i pomógł wlec się na obolałych nogach, a ona pozwoliła prowadzić się jak małe dziecko.

Nawet nie wiedziała, kogo spotkała zaraz na wstępie: wszystkie twarze zlały się w jedną, serdeczną całość i tak jej pozostały w pamięci. Słyszała słowa, gorące słowa powitania, i było jej tak dobrze, jak nigdy. — A tak na ciebie czekamy — mówił jakiś głos (naprawdę nie pamięta czyj), tak bardzo się niepokoiłszy wszyscy, boś miała być jeszcze w piątek, a dziś już jest niedziela. — Och, miałam przygód bez liku! A im szybciej chciałam dostać się do was, tym trudniej mi było znaleźć połączenia, ale wreszcie jestem i — upadam ze znużenia.

Z domów wyłaniały się coraz to nowe twarze.

— Gdybyś wiedziała jaki zaniepokojony jest Marek! Szkoda, żeś nie słyszała, jak się złościł na Józka³⁾, na Halę. Zjechał ich — krótko mówiąc — po swojemu. — A z jakiego to dziś powodu? Z żadnego, po prostu z tej przyczyny, że był zdenerwowany, teraz się chyba już uspokoi.

Justyna spiekleła raka. Wiedziała przecież, że Marek będzie zaniepokojony jej dwudniowym spóźnieniem, ale że o tym wszyscy mówić będą, nie przypuszczała w ogóle. Toteż zaśmiała się głośno, żeby pokryć zmieszanie, i taką roześmianą właśnie ujrzał Marek. Już go zdążyli zawiadomić, że przyjechała, więc zdołał się wyrwać na chwilę, żeby ją przywitać i teraz przepychał się ku niej poprzez tłumy.

A gdy stanęli twarzą w twarz i Justyna poczuła w uścisku jego wąską, twardą dłoń, wiedziała już wszystko w okamgnieniu. Więc to nie był przypadek, że odpowiedzialność za całą rodzinę, za obie matki, za ojca i Witka, spadła wyłącznie na Justę. Że w tej najcięższej może chwili była sama, zdana na własne siły, własną zaradność i spryt. Teraz już wszystko było dla niej jasne: dla Marka skończyło się życie osobiste. Odtąd „sprawa” porwała go w swe tryby i tylko ona ma dla niego wartość. Wszystko inne ma dla niego znaczenie pośrednie, tylko ona jedna ma dla niego wartość wyłączną, bezwzględną. I kiedy patrzyła na jego, jakby w bronzie wykute rysy, na stalowe błękitne oczy — czuła wyraźnie, że on już jej nie

widzi, że poprzez jej postać patrzy w dal, czy w przyszłość, w to, co ma nastąpić i co zajmie pierwsze miejsce w jego życiu.

— Mam tylko chwilę czasu — powiedział. — A Justa wiedziała dobrze, że tak powie, że odtąd już zawsze będzie miał tylko chwilę czasu.

— Odstawiłaś wszystkich na miejsce? W porządku?

— Najlepszym.

— A czemu wracasz tak późno? Tak się bałem, że coś złego zaszło.

— Miałam moc przygód i tyle chcę ci opowiedzieć.

— Oczywiście. Muszę wiedzieć wszystko, ale teraz mam jedną chwilę wolną, — tu nachylił się nad jej uchem — jest posiedzenie. Rozumiesz? Później, wieczorem wstąpię do ciebie i pogadamy. Teraz idź i wypocznij.

Przechodzili koło jakiejś żółtej kamienicy. Marek gwizdnął krótki sygnał. Z okna na pierwszym piętrze wychylił się Dolek⁴⁾).

— Jest, — zawołał Marek lakonicznie — wskazując na Justę. Posłali sobie z daleka serdeczny uśmiech. Nie mówili nic. Tam pewnie odbywa się to posiedzenie — myślała Justyna. I ogarnęło ją wzruszenie, coś jakby nabożeństwo dla tych narad, które jej się wydały jakieś wielkie i tajemnicze, dalekie i dla niej nieosiągalne. Sama od lat już należała do kierownictwa ruchu, brała udział w najpoważniejszych naradach. I dawno już minęły czasy, kiedy ogarniało ją święte drżenie na myśl o jakichś naradach. A przecież teraz poczuła się jakaś malutka, onieśmielona i z pewnego rodzaju pietyzmem zapytała: — To tu się odbywa posiedzenie? — Marek nie odpowiedział. Ktoś stał blisko, za blisko, by swobodnie rozmawiać, więc tylko porozumiewawczo mrugnął okiem, a Justynie przeszło przez myśl: — Konspiracja. Jakie teraz inne wszystko. Kiedyż to Dolek ostatni raz był w Wiśniczu? Chyba, że dwa tygodnie temu. Kilka dni po rozwiązaniu placówki w Kopalinach⁵⁾), przyjechał. Właściwie wzywano go, bo w pierwszej chwili, kiedy utracono punkt, zdawało się, że trzeba coś przedsięwziąć, że musi się go stanowczo odbudować, albo zdobyć inny w okolicy. Ale on przyjechał i po-

traktował sprawę z zupełnym spokojem. — Nie ma czego żałować — mówił. — Te Kopaliny, to był sen, z którego i tak trzeba się obudzić. Mógł trwać może tydzień jeszcze, lub dwa, ale to już i tak musiało się skończyć. Więc czegoż wam żal? Tych dwóch tygodni? Moi Kochani, za miesiąc i tak nie będzie śladu z siedzib ludzkich, co od setek lat wrosły w swoją glebę. My się tylko cieszyć możemy, żeśmy tak pięknie i twórczo spędzili lato. A któż wie, czy ono nie jest ostatnie. Potem miedzami — był cudny poranek — poszli w dół, gdzie pola łagodnie opadały ku strumieniowi. Cicho było i błękitno. W dali żniwiarze pobrzękiwali kosami. Spokój niczym niezmacony osiadł na ścierniskach. Siedzieli we czwórkę. Antek^a), Dolek, Marek i Justa. Padaly słowa — przysięgi. O tym, że pójdą i oddadzą się bez reszty. Że już za późno chwycić się tego, co mija, co bezpowrotnie się kończy. Że darmo się chwycić przeszłości, że życie trwa tylko dziś, a jutro jest niewiadome.

Albo, że jedno jest wiadome — że jutra dla nas nie ma. Więc póki trwa jeszcze dziś — trzeba tworzyć. Boże! Tworzyć? Niszczyć, niszczyć, niszczyć, ile sił tylko w młodych mięśniach pozostało. Bo tylko w niszczeniu jest nasza moc. Tego jednego jeszcze warto się imać. Wszystko inne przemija — tylko to, co zniszczymy, pozostanie.

Paradoks to był jakich mało. Oni, młodzi, silni, w których mocy było światy budować, którzy od lat dzień w dzień wznosili gmach wiary w prawego człowieka — teraz mieli uwieńczyć swe życie przelewem krwi, dywersją, sabotażem, przewrotem, niszczeniem, zagładą...

W dali kosiarze równymi, spokojnymi ruchami pochylali się i podnosili, a słońce powoli toczyło się po błękitnym niebie.

Dziś, po dwóch tygodniach — są już na drugim etapie! Wtedy to było postanowienie — dziś się rozpoczęła praca. Może nie praca sama w sobie, ale część przygotowawcza. Już nie na tle łąk i skoszonych pól, ale wśród czterech zakonspirowanych ścian toczą się narady.

Justyna nie orientuje się, jak sprawa stoi. Ale wie, że wszystko ruszyło już z miejsca. Kiedy Marek przyjdzie do

niej wieczorem, dowie się może tego i owego. Na razie musi posłusznie iść do domu.

Po chwili już ktoś inny obejmuje ją serdecznie. Przed nią stała Hanka⁷⁾, siostra Anna, opiekunka i wprost matka wszystkich strapionych i cierpiących. — Masz nogi zupełnie opuchłe — zawołała od razu. Zdejm te ciężkie buciki i wdziewaj moje drewniaki. I to szybko!

Stoją wśród trotuaru, hamują ruch uliczny, bo Hanka uparła się, że Justa musi zmienić obuwie.

— A teraz chodź do domu i marsz do łóżka, wyglądasz jak z krzyża zdjęta, takas umęczona!

— Hanuś kochana, już rok blisko nie widziałam cię! — mówi Justyna wzruszona.

— Nic się nie zmieniłaś, dziewczyno, nic, choć wychudłaś ogromnie!

I cieszą się sobą i mówią jedna przez drugą, — pytania mijają się z odpowiedzią, a oczyma obejmują się serdecznie.

A tu wciąż nowi ludzie podchodzą, nowe uściski dłoni, nowe słowa powitania, a poprzez nie bije jedna wspólna, choć nie wszystkim jeszcze jasno uświadomiona myśl, że spotykają się teraz, jakby na przełomie, jakby o zmierzchu jednej, a u świtu drugiej, nowej w ich życiu epoki.

Justyna podrywa się. Zawsze, kiedy myśl jakaś wzbiera w niej, coś ją ponosi, coś nie pozwala tak spokojnie trwać w bezczynności, gdy tyle wielkich rzeczy czeka spełnienia.

— Jutro wstanę — postanawia. — Dość już wypoczynku, trzeba się zabrać do roboty.

Mijały dni, a Marek nie wracał. Te chwile wyczekiwania na powrót były najstraszniejsze, wprost koszarne. Kiedy Justyna, leżąc w łóżku, myślała o tym, że powinien już być wrócić, uświadomiła sobie w całej pełni ciężar zadania, jaki wzięli na siebie. Nie byli pierwszymi w dziejach ludzkości powstańcami, nie oni pierwsi chwytały za broń, aby obalić stary porządek rzeczy. Od wieków, od najdawniejszych cza-

sów, jakie historia pamięta, zawsze była garstka szaleńców, co porywali się z motyką na słońce i szli śmierci na przeciw.

Byli młodzi i rzeczą niemal naturalną był fakt, że obrali drogę rewolucyjną. Ale też byli Żydami — i tu była istota zagadnienia. Tu tkwiła najtragiczniejsza trudność zadania.

Trzeba się cofnąć do średniowiecza, żeby zrozumieć, co to znaczy ograniczyć człowieka do ostateczności, wyrugować ze wszystkich dziedzin życia, odsunąć od wszelkich zdobyczy świata cywilizowanego, zamknąć po prostu w klatce z drutów kolczastych i powiedzieć mu: — tu siedz i czekaj na śmierć, którą ci sami zgotujemy. A może nawet i średniowiecze nie znało tej pętli, która się coraz bardziej zaciska dokoła szyi człowieka, aż wreszcie skazaniec na niej zawisnie i nie kona wcale, tylko dusi się, dusi, w pełni świadomości, że nie wydostanie się z niej nigdy. Któryż to zresztą z kodeksów świata znał tyle zakazów, tyle ograniczeń, tyle przepisów, za których przekroczenie niezmiennie należała się kara śmierci! To prawda, że tę śmierć zadawało się bez prawnej przyczyny, ale jeżeli ktoś usiłował wyrwać się ze szponów zagłady i bronić się normalnym prawem do życia, czekał już na niego najeżony wyrokami śmierci najstraszniejszy kodeks świata. Kto opuścił mury ghetta, ten zasłużył na karę śmierci. Kto pokazał się na ulicy bez biało-niebieskiej opaski na prawym ramieniu — ten zasłużył na karę śmierci. Kto wszedł do tramwaju, dorożki, pociągu, autobusu — ten zasługiwał na karę śmierci.

Nie trzeba wcale stać się rewolucjonistą, żeby narazić się na śmierć. Wystarczyło być sobą, wystarczało zrobić jeden krok, żeby wpaść w pułapkę, perfidnie nastawioną na Żyda.

W ghetcie można było tylko skończyć, lub czekać biernie na wysiedlenie i skończyć gdzieś w kaźni gazowej. Kto jednak chciał czegośkolwiek dokonać, ten musiał wyjść z dzielnicy — i tu już rozpoczynała się najcięższa z walk.

Tak łatwo było powiedzieć: — uciekajcie przed wysiedleniem! A przecież jak się wydostać z kolczastego drutu, obstawionego policją? Jak postawić pierwszy krok na wolną ulicę. Dojrzą opaskę na ramieniu i — już kula w łeb. Zrzucić

ją? Kiedy spostrzegą jak zsuwa się ta biała symboliczna opaska, wydadzą człowieka wprost w ręce policji. Gdyby się ukryć w najciemniejszej nawet bramie i tam dokonać tej zasadniczej zmiany dekoracji, ktoś tam zawsze dostrzeże, że wszedłeś do bramy Żydem, a wyszedłeś niby — kto? No, niby kto? Bo, żeby po stokroć zrzucić opaskę, musiało się być sobą nadal. Było się po prostu Żydem — bez opaski. Zdradzało się swoje żydostwo każdym poruszeniem pełnym niepokoju, każdym krokiem niepewnie postawionym, pochyleniem pleców, na których — zdawałoby się — leżało jarzmo niewoli, spojrzeniem jakby szczerzego zwierzęcia, całą postacią, twarzą, oczyma, na których ghetto wycisnęło swe piętno. Było się po prostu Żydem, nie tylko przez kolor oczu, włosów, cery, przez kształt nosa, przez swoją rasę. Było się nim przez brak tupetu, pewności siebie, przez akcent mowy, przez sposób wyrażania się, przez odrębne zachowanie i Bóg wie, przez co jeszcze. Byłeś nim dlatego po prostu, że wszyscy chcieli go widzieć w tobie, wszyscy na cię chcieli szczuć i nie mogli znieść, że uciekasz przed śmiercią. Na każdym kroku zaglądano w oczy, bezczelnie, podejrzliwie, wyzywająco, aż się biedny człowiek mieszał, oblewał rumieńcem, spuszczał wzrok — i okazywał się Żydem. Więc nim się wydostał na pierwszą stację kolejową, już miał za sobą cały szereg bitew rozegranych wzrokiem, szereg bezsłownych zmagających z nieprzyjacielem, ukrytym w każdym przechodniu, nierzadko kilka przepraw z szantażystą, potem w kieszeni ledwie pozostawały pieniądze na podróż do najbliższego miasteczka. A gdy dotarł wreszcie do upragnionej stacji, znajdował się nagle pod ostrzałem spojrzeń ludzi umundurowanych. Liczne formacje policyjne wypuszczono po to tylko, by tropiły zamaskowanych Żydów. Tajniacy, Niemcy, Ukraińcy, wśród których właśnie pobratymcy faszystowskich elementów grali pierwsze skrzypce. Ileż zimnej krwi trzeba było zachować, żeby dumnie, z głową podniesioną, przejść przez westibul, ostro odpalić natrętne spojrzenie tajniaków i ze swadą wejść do wagonów. A tu dopiero rozpoczynało się panowanie motłochu. Przed oczyma tych warstw, wyzuty

z wszelkiej subtelności, nie sposób było uciec. Prześwidrowali oni każdego na wylot, w każdym wywachali Żyda, żeby go natychmiast oddać policji, lub w najlepszym wypadku dręczyć, szantażować, grozić, aż w nim do reszty osłabnie duch i będzie pragnął śmierci, jako najwyższego zbawienia.

Nierzadko - - przy największym wysiłku nerwowym — udawało się zmylić ślad. Ale nigdy nie można było uniknąć najprzykrzejszych rozmów, burzących krew w żyłach człowieka. O czym? O Żydach. Że dobrze im się stało. Że czas już najwyższy. Że słusznie ich kara spotkała; że uciekali, ale na szczęście ich schwytano. Że chcieli zabrać ze sobą złoto, ale im na czas odebrano... Gadki, podłe oszczerstwa, nikczemne kłamstwa, a nade wszystko radość, niska, zwierzęca wprost radość z tego, że giną setki tysięcy dzieci, kobiet, starców. Jak hieny, co wypatrują padlinę, tak oni czekali na mienie żydowskie, na domy pozostawione bezpańsko, by rzucić się na nie i grabić, rabować...

A tu w kącie wagonu siedzi człowiek, który jeszcze nie przeboleł straty swych najdroższych i ani jeden miesiąc nie śmie drgnąć na jego twarzy. Bo jeśli zdradzi wzburzenie lub ból, ho, ho, to to na pewno jest Żyd. Więc wewnątrz tam krew się burzy w człowieku, a z zewnątrz nosi kamienną maskę i ani na chwilę nie wolno mu uchylić przyłbicy, bo — biada mu!

Kto odbył jedną taką podróż i wyszedł z niej cało, ten słusznie mógł opowiadać odyseję o swych przeprawach. Dla innych podróż była przedsięwzięciem bardziej, lub mniej wygodnym. Dla Żyda każde wyruszenie na krok za drutami, było przedzieraniem się przez ogień bojowy i — jak na froncie, tak i tu — mógł osłaniać człowieka tylko przypadek. Przypadek i wewnętrzna siła człowieka. O tę to siłę, — by wreszcie zahartować ją w sobie — trzeba było przejść olbrzymi proces myślowy, w którym można się było oczyścić i podnieść, lub spodlić się i upaść. Droga była wąska i śliska, wielu się na niej potykało i usuwało w przepaść poniżenia. Jak łatwo było popaść w uczucie pogardy dla siebie samego! Czyż więc mogli poniżyć się tak dalece, by kryć się ze

swoim żydostwem, oni, którzy od lat z dumą obnosili się ze swym imieniem i butnie stawiali czoła tym, co odważyli się rzucić zniewagę Żydowi. Oni, którzy całą swą bez troską młodość oddali sprawie żydostwa i w jego odrodzeniu widzieli sens swego życia, oni mieli teraz, choćby przez chwilę, zaprzeć się siebie i tchórzowsko ukrywać swe pochodzenie?

To była jednak konieczność, nieunikniona konieczność, bez której nie posunęliby się ani o krok naprzód. Węc pokonawszy w sobie pierwszy bunt, który kazał odstąpić przyłbicę i rzucić motłochowi wyzwanie, postanowili zamaskować się. Nie było rzeczy, którejby się nie chwycili dla osiągnięcia celu. Każdy środek stawał się święty wobec wielkości zadania. Nie to, że pozornie zaparli się siebie. W gruncie rzeczy wzmogła się ich osobowość, spotęgowała, po prostu — dusza ich się ustokrotniła. Czym bardziej rozpierała ich od wewnątrz duma, czym skrzętniej ukrywali swoje żydostwo, tym większa w nich była radość, że są Żydami i pozostaną nimi do ostatniej chwili życia. Nigdy, ani przez chwilę nie błysnęła im taka myśl, że gdyby nie to żydostwo, nie staliby teraz nad przepaścią. Nie żałowali tego i tylko to ich napępniało goryczą, że nie mogą otwarcie wystąpić i jako Żydzi swą walkę prowadzić. Jedynie otwarta walka dałaby im pełne zadośćuczynienie. Wierzyli jednak, że kiedyś taka chwila nastąpi i w jej oczekiwaniu, działali na razie w ukryciu.

Była to odwrotna strona ich konspiracji, a właściwie pierwsza jej część. Inni mieli ukryć swą działalność i wszystko co jej podlegało — oni musieli zakonspirować siebie, swoje pochodzenie, swój wygląd, obyczaje, mentalność, swoje myśli, drogie i od lat w duszy pielęgnowane, a po tym dopiero swą pracę. Czy ktoś kiedykolwiek zdoła zrozumieć tę gromadę szaleńców, co jako ludzie i Żydzi, już dawno nie mieli prawa jeść, a żyjąc, wbrew temu prawu, czy inaczej bezprawiu — chwyтали za broń? Przecież wystarczyło ukazać się na ulicy, jeszcze bez broni w kieszeni, bez jakichkolwiek partyzanckich zamiarów, by wpaść. Czy ktoś kiedykolwiek zrozumie strach rewolucjonisty przed potknięciem

się, nim jeszcze wyruszy w teren? Czy ktoś pojmie obawę przed śmiercią, która nastąpić może, zanim dokona się cokolwiek dla sprawy? Przecież nikt z nich nie bał się śmierci, ale wszyscy się obawiali tego, że zostaną pojmáni zawczasie, że wpadną w ręce władz przez jakąś drobnostkę, a nie przez prawdziwą robotę. I jeśli mieli jeszcze osobiste pragnienie — to tylko, żeby umrzeć godnie, żeby nie znaleźć się w głu-
piej sytuacji, żeby zginąć w walce.

Ku temu więc szły pierwsze ich wysiłki, jak zamaskować się. Charakteryzacja, ubiór, typ — oto co stało się ich codzienną troską. Fizjonomia i zewnętrzny wygląd stał się sprawą tak poważną, że niemal wszystkie kryteria wartości człowieka uległy zmianie. Ten, kogo cechowała prawdziwa odwaga i męstwo, nie był jeszcze wystarczającą wartością, skoro nie posiadał jeszcze odpowiednich warunków zewnętrznych. Ostatecznie umieli sobie dzielnie z tym radzić. Pomagała im w tym młodość i duma, jakiej im nie brakło. Na ich świeżych obliczach ghetto nie zdołało wycisnąć niewolniczego piętna. Opuszczali dzielnicę z hardo podniesionym czołem, szli przed siebie mocnym, prężnym krokiem, stąpali z taką pewnością siebie, że zmuszali innych do zejścia im z drogi. Nikt z nich nie wyczuwał ludzi szczułych, nikt nie odważyłby się poniżyć ich, lub rzucić obelżywe słowo. A przecież ich bezpieczeństwo osobiste wisiało na jednym włosku. Wystarczyło jedno wspomnienie, jedna refleksja, aby czoło zasępiło się momentalnie, oczy zasnuły się jakąś mgłą, na rysach osiadł dziwny smutek — i piętno zgnębionego żydostwa wyrzyło się na całej postaci. W takiej chwili nie uratuje człowieka ani słowa czupryna, ani siwe oczy, ani nos zadarty, bo poprzez wszystko zewnętrzne wybija się z całą mocą dusza żydowska, której już nic nie zdoła zataić.

Zresztą, takich słabych momentów bywało więcej. Ileż to pięknych dziewcząt zwracało na siebie uwagę swą egzotyczną urodą! Nadarmo rozjaśniały swe kruczo-czarne war-
kocze, ciemne oczy zachowywały swój tęskny wyraz i były zawsze świadkami ich niezwyklej, semickiej piękności. Za każdym zakrętem, na każdym przystanku tramwajowym

kryło się niebezpieczeństwo. Tu dawny znajomy, tu szantazysta, tu tajniak, tu znów policjant o zbyt wnikliwym wejściu, tu wreszcie rewizja osobista, słowem — każda droga najeżona przeszkodami, przez które trzeba przedrzeć się, niczym przez puszcę dziewiczą. Bo też dziewiczy był dla nich ten teren. Nigdy dotąd nie odgrywali w życiu żadnej „rolki”, byli zawsze i wszędzie sobą. Toteż nim jeszcze wkroczyli na drogę czynnej walki, rozpoczęli swoją odrębną walkę, którą z góry już mogli przypłacić życiem. Można było — i trzeba było, — swą rolę grać do końca. Ileż to razy, już w rękach policji, trzeba było szamotać się i wypierać swego zydostwa do ostatka. Ale ile też siły, potrzeba do tego!

Najczęściej nerwy naprężone nie wytrzymywały dłużej i pękały w decydującej chwili, jak postronki. Więc w tym ostatnim momencie przychodziła desperacka myśl: żyłem jako Żyd, więc umrę jako Żyd! Już cisnęły się na usta słowa przyznania, ale nagle nowa refleksja kazała ratować się, raz jeszcze ratować się dla dobra sprawy i nerwy napinały się na nowo, by zwyciężyć ostatecznie.

W większości wypadków jednakże decydował przypadek, a tu trudno było mówić o zwycięstwie. A teraz, skoro Marek nie wraca, niepokój wciąż wzrasta w Justynie. Wczoraj wprawdzie nadszedł ostatni telegram — do chwili obecnej ileż mogło się zdarzyć. Nie trzeba godzin na to, wystarcza jedna sekunda, jedno mgnienie oka, aby wszystko, wszystko przepadło. Ktoś spojrzy na niego, ktoś pomyśli: — znam tego człowieka! — i już się stało!

Czy koniecznie muszą go przyłapać na tym, jak opuszcza zakonspirowane mieszkanie łącznika lwowskiego)? Czy koniecznie muszą przy nim znaleźć broń, lub bibułę? Ależ nie! Wystarczy, żeby znaleźć w nim jego samego, odkryć w nim to, co w nim najistotniejsze — po prostu poznać w nim Żyda.

Jeden moment, jeden błysk oczu i wszystko stracone!

Justyna chowa głowę pod koldrę, żeby uciec przed obrazami, które natrętnie narzucają się jej wyobraźni.

Nie, Marek się nie podda! On nie jest z tych, co się pod-

dają! Już przeszedł przez niejednego ogień, już się w niejednym niebezpieczeństwie zahartował. Od trzech lat, od chwili wybuchu wojny nie zaznał chwili spokoju. W ciągłych rozjazdach, w bezustannych tarapatkach, tak w sobie wyostrzył bystrość i hardość, że żadna sytuacja nie zaskoczy go; z każdej wyjdzie zwycięsko.

— Powinnam być zupełnie spokojna — myśli Justyna...

I wnet przypomina sobie, że jeśli się niepokoić, to raczej o tych wszystkich, którzy bez przygotowania puszczają się teraz w drogę, a nigdy nie wiadomo czy wrócą.

Mimo to, nie ma w nich wahania, ani żadnych wątpliwości. Idą odważnie i bez zastanowienia.

A jeśli rzucają na pożegnanie swe odwieczne „morituri te salutant”, to czynią to tak radośnie, że nieraz zdawałoby się: te dzieci nie uświadamiają sobie grozy położenia. A przecież każde z nich przeżyło już to najgorsze, każde z nich już kilkakrotnie otarło się o śmierć.

— Boże jedyny — myśli Justyna — właściwie nie zrobiliśmy jeszcze niczego. A ile energii zużyło się. Gdyby zre-asumować wysiłek, na który zdobyliśmy się dotychczas, by stanąć tu, w Krakowie i oświadczyć swoją gotowość, to suma byłaby tak wielka, że można by niejedną bitwę stoczyć przy jej pomocy. Każdy już kilkakrotnie przeżył siebie samego, a to dopiero początek!

Staliśmy dopiero na punkcie zbornym i czekamy na rozkazy. To istotne dopiero nastąpi. A gdybyśmy tak — myśleli w dalszym ciągu — nie zdołali dokonać niczego więcej, czy to mało? Czy miarą naszego czynu będzie wysiłek, czy efekt końcowy? A zresztą, wart jest sam fakt stawiania oporu, chociażby biernego, warto wprowadzić w błąd, choćby dla małego zadośćuczynienia.

I przypomniawszy sobie słowa Marka, gdy „wysiedlenia” się rozpoczęły. „Powinniśmy jeździć od miasta do miasta i uświadamiać ludzi, że nie ma „wysiedlenia”, że jest to tylko kaźń! Niech się nie ludzą, że ryzykują cokolwiek: powinni uciekać, masowo uciekać. Nie wyrwać się w pojedynek, ale rzucać się całą masą, zalać pociągi, drogi, cały kraj. Pomyśl

jak bardzo byśmy im utrudnili robotę. Prawda, że oblawy zamieniliby na masową rzeź, ale dla nas jest to bez znaczenia, a dla nich byłby to otwarty bunt: mieliby ręce po łokcie zawałone robotą”.

W końcu straciliby orientację, kto Żyd, a kto nie Żyd i czym trudniej byłoby segregować, tym większa byłaby ich wściekłość. Każdy bunt bowiem podważa ich siłę, psuje ich ład. — Słuchaj, czy ty na prawdę wierzysz — zapytała go wtedy Justyna — że nasz bunt, nawet najsilniejszy, może mieć jakieś znaczenie, poza symbolicznym? Czy może mieć wpływ na ogólną sytuację polityczną?

— Bez wątpienia. Przecież nie my sami ten bunt podniesiemy. W każdym kraju tkwi jakieś zarzewie buntu. Wystarczy rozplomienić go w jednym kraju, by ogień ogarnął całą Europę. A wtedy jesteśmy ogniwem w wielkim łańcuchu, płomieniem w olbrzymim ognisku, co oczyści cały świat. Tylko od wewnątrz można oczyścić to przegniłe naczynie, a w tej kreciej robocie nasz udział jest taki ważny, jak każdego innego narodu.

— To muzyka dalekiej przyszłości — powiedziała Justyna ze smutkiem.

— O, wcale nie dalekiej: Patrz, w Jugosławii walczy regularna armia powstańcza, sama działa wiele, ale nie pokona wroga. Nie wolno jej jednak pozostawić samej. Za jej bohaterskim przykładem powinni iść wszyscy ludzie, w których dusza jeszcze nie zgasła. A jeśli tak wszędzie powstaną przeciwni, to ta cała potęga runie w gruz. Pomyśl, że wszystko jest w naszych rękach. Gdyby sobie to samo umieli powiedzieć wszyscy uciemienieni, jakie wielkie mielibyśmy szanse!

Justa podrywa się. Zawsze, kiedy myśl jaka w niej wzbiera, coś ją ponosi, coś nie pozwala tak spokojnie trwać w bezczynności, gdy tyle wielkich rzeczy czeka spełnienia.

Jutro wstanę — postanawia. Dość już wypoczynku. Trzeba się zabrać do roboty!

Nazajutrz Justyna była już zupełnie zdrowa. Wstała wczesnie, krzątała się w domu, jednak nie znajdowała dla siebie treściwego zajęcia. Jeszcze nie znalazła toru, po którym miało się potoczyć jej nowe życie.

Znów przyszedli do niej ludzie, znów wyszła z nimi na ulicę, znów było jej dobrze, ale to jeszcze nie było to.

Czekała na Marka... Wieczorem, gdy siedziała przy łóżeczku zasypiającego Witusia, ktoś wpadł niespodzianie z wiadomością, że pod murami ghetta czeka Marek i że nie może się dostać do dzielnicy.

Justyna podniosła się; była sama w domu i nie było kogo posłać, by ułatwić Markowi wejście. W końcu nadeszła bratowa. Zabrała przepustkę Tádka i poszła Markowi na przeciw.

Mijał kwadrans za kwadrans; godzina policyjna się zbliżała, a nikt nie wracał. Justa traciła resztę cierpliwości. Tego się tylko bała najbardziej, że po długiej, pełnej niebezpieczeństw podróży, nieszczęście stać się może w ostatniej chwili, już w bramach ghetta.

Więc przechadzała się po pokoju, żeby zachować trochę równowagi, gdy wtem drzwi się otworzyły i wszedł Marek.

— Sam? — zapytała Justa zdziwiona, usiłując przy tym ukryć drżenie, które rzuciło się jej do gardła.

— Sam. Nikt po mnie nie przyszedł.

— To niemożliwe. Posłałam Irenę, Mietka, a zdaje się, że ktoś jeszcze wyszedł ci naprzeciw.

— Nikogo nie spotkałem.

— Więc jak wszedłeś?

— Widziałem, że już blisko dzlewiąta i że nie ma na co dłużej czekać, wdrapałem się na mur i wskoczyłem do środka.

— Szaleństwo — pomyślała Justyna — ale nie chciała mieć tej chwili spotkania, więc tylko zapytała: — jak było?

— Wszystko opowiem ci jutro, teraz przyszedłem się pokazać i już muszę iść do Dolka. Przyjdę jutro wcześniej.

Gdy odszedł, Justynie było tak smutno, że nie wiedziała

kiedy właściwie jest lepiej: czy wtedy kiedy Marek jest daleko a ona wierzy że gdy wróci będzie blisko, czy wtedy gdy jest blisko a ona czuje że jest tak daleko!

Wraz z powrotem Marka ze Lwowa, rozpoczęło się intensywne przygotowanie do pracy. Praca, to znaczyło wtedy — pójść w las. Te lasy były jeszcze wciąż legendą. Nikt stamtąd nie wrócił, nikt ich nie znał. Jak zorganizowane tam jest życie? Ale każdy wiedział, że tam się coś dzieje, że tam się tworzy wielka walka i wszyscy się do niej rwali, choć zbliżała się jesień, tak bardzo nieprzychylna dla pracy w terenie. Czy to była tylko gotowość, czy też pociąg do romantyzmu, jaki się rozłatawał dokoła tych niezbadanych puszczy, cokolwiek to było, nie ulegało wątpliwości, że każdy kto się decydował, przez sam fakt decyzji stawał się lepszy, czystszy i coś na kształt niewidzialnej aureoli bohaterstwa otaczało jego osobę.

Organizowali się w piątki. Systemem konspiracyjnym, powinna była każda piątka być całością samowystarczalną. Winna była mieć swojego przewodnika, łącznika i intendenta, własny ekwipunek, własną broń i zapasy żywnościowe, samodzielny plan działania, teren — słowem, swój zamknięty świat życia i działania. Najistotniejszy był jednak fakt, że winni byli znać tylko siebie i swoje plany. Nikogo poza piątką też nie należało wtajemniczać w plany działania, czy nawet w skład osobowy piątki. Nikt nie śmiał wiedzieć, kiedy, kto i dokąd wyruszał. Nikt nawet nie powinien był wiedzieć, gdzie się kto obecnie znajduje. A jeśli obowiązywała konspiracja, to powinni nią być osłonięci przede wszystkim ci, którzy byli podstawą ruchu — kierownicy.

A właśnie tu rozpoczynała się największa trudność, najważniejsza sprzeczność między duchem, który ożywiał ich od lat, a bezwzględnymi potrzebami tajnych organizacji wojskowych. Byli ruchem młodzieży w każdym calu. Przeskok był zbyt wielki, by mógł nastąpić w tak krótkim czasie. Tym bardziej, że wobec zbliżającego się kresu, życie uczuciowe się wzmogło. Każdy z nich niemal utracił dom, rodzi-

nę. Ta gromada młodych była ostatnią przystanią bytu, ostatnią ośrodką dla uczuć, które czepiały się jej 'wszystkimi maczkami. Im bardziej gasta wiara w człowieka na widok szerzącego się gwałtu i hańby, tym silniejsza była wiara w tych nielicznych młodych, jedynych i takich innych niż cały świat dokoła. Więc też kochali się dziwną miłością, szukali się wciąż wzajem i niby przypadkowo spotykali się całymi gromadami, a ich wesoły śmiech i jakaś niezwykła swoboda, nie pozwalala im pozostać niepostrzeżonymi. Po stokroć otręgano: „nie gromadzić się”, po stokroć postanawiano: „nie zbierzemy się więcej”. A tu, zaledwie spotkała się dwójka na ulicy, już za chwilę spotykali nowych i wkrótce szerokim szeregiem szli jezdnią z włosami rozwianymi, z twarzą otwartą, jasną, krokiem pewnym, równym, a za nimi biegły spojrzenia ludzi, o których nigdy niewiadomo, co myślą i ku czemu zmierzają. Wiedzieli dobrze, że tak być nie powinno, ale kiedy byli razem, czuli się taką siłą, że żaden wróg, czy to jawny, czy ukryty, nie przerażał ich. Był to zapewne grzech młodości, ale ktokolwiek chciałby ich potępić, musiałby zrozumieć, że nie wolno odbierać im tej ostatniej radości życia, tego ostatniego schronienia dla przedwcześnie osieroconych uczuć. «A jeśli ktoś nazwie ich niedojrzałymi do bojowego ruchu, to jak oprzeć się pytaniu, kto zwróci im młodość na zawsze utraconą?

W samym centrum dzielnicy, przebudzonej jak nigdy dotychczas, było kierownictwo. Powinno być ukryte, zakonspirowane, gdzieś daleko od ghetta. Nie powinno było scentralizować się, ale każdy z osobna powinien mieć tajne mieszkanie. Spotykać się mogli raz na jakiś czas i porozumiewać w najważniejszych sprawach. A oni żyli wśród ludzi, którzy znali ich od lat, wśród których każdy mógł na nich pokazać palcem: to są przywódcy żydowskiej młodzieży bojowej!

Było ich czterech, Dolek, Romek,⁹⁾ Marek i Maniek,¹⁰⁾ Maniek był wśród nich najmłodszy. Istotę ruchu stanowiła właściwie pozostała trójka. Dolka i Marka od lat łączyła przyjaźń. Przebili się razem przez niejedną zapórę. Razem byli

świadkami wielu wzlotów i nawet momentów załamania się w ruchu:

Znali się dobrze, uzupełniali się niejako i wyczuwali nawzajem, choć nierzadko ścierali się z sobą poważnie. W sprawach zasadniczych jednak, ideowych, byli jednością, szczególnie teraz w przełomowej chwili ruchu młodzieży.

Romek był wśród nich nowy. Reprezentował odrębną grupę młodzieży, o radykalnym nastawieniu społecznym. Jeszcze silniej zarysowywała się między nimi różnica przekonań dawniej, gdy spotykali się z nim na platformie międzyorganizacyjnej. A właśnie dziś, kiedy zetknęli się z nim, by razem poprowadzić młodzież do walki powstańczej, poczuli, że właściwie wszystkie różnice przekonań zniknęły i są sobie tak bliscy, jakby od lat pracowali na wspólnym polu ideowym.

Wielki, barczysty chłop, o jakiejś niewytłumaczonej wprost bezpośredniości, miał w sobie coś, co od razu chwyciło za serce. Wyglądał tak, jakby go nic nie obchodził cały świat, jakby go nic nie mogło nigdy ani przerazić, ani wyprowadzić z równowagi. Przy tym tak trzeźwo patrzył na wszystko, tak realnie ujmował rzeczy, że z łatwością przebywał ten jeden krok, jaki dzieli komizm od tragizmu. Umiał rzeczywiście wszystko ująć z humorystycznego punktu widzenia, a to poczucie humoru było najmielszą cechą w zetknięciu się z nim. Było to zresztą specyficznie żydowskie poczucie humoru, które w najcięższych nawet sytuacjach czyniło życie mocnym, a czasem nawet miłym.

Więc też lgnęli do niego i starali się przebywać razem z nim bezustannie. W każdej chwili poznawali go lepiej, a poznając, lubili coraz bardziej. Tak więc w trójkę, a często nawet we czwórkę, spędzali niemal każdą wolną chwilę, przez co zgrali się, zharmonizowali się i w zgodnym rytmie prowadzili pracę. A dokoła nich skupiali się ludzie. Każdy miał swoich, dla których był w tej chwili niejednokrotnie ojcem, opiekunem, przyjacielem — słowem, zastępował im to wszystko, co im Niemcy wydarli. Co więcej: dawali im no-

we horyzonty, ujście dla energii wezbranej, prowadzili na szeroką drogę czynu.

Mogliż więc opuścić ich i zaszyć się w bezpieczne ukrycie? Do kogo przybiegaliby wszyscy ze swoją rozpaczą, bólem, rozterką? Zresztą, pamiętali każdej chwili, że są ruchem młodzieży, zespolonej silnymi węzłami ducha. Znali się wszyscy i dowierzali sobie pod każdym względem bez granic. Wiedzieli, że każdy z nich raczej zginie, niż wyda towarzysza. Więc po cóż by było ukrywać przed sobą plany działania? Przywykli, że cokolwiek postanowili, było to zawsze w wzajemnym porozumieniu. I w małych czy wielkich sprawach zawsze decydowali wspólnie. Mielizby dzisiaj o życiu ludzkim decydować na własną rękę?

Rozumieli jednakowoż, że konspiracja jest rzeczą konieczną. Nie chcieli tylko od niej rozpoczynać. Odczuwali niechęć do tajnych związków, dla których konspiracja była nie środkiem pomocniczym, ale celem samym w sobie. Była niejako jedyną pracą. Ukrywali się, myśleli, że przez to już nabierają znaczenia:

Była to obłuda tym większa, że ukryła się pod płaszczykiem pracy ideowej. Tej obłudy chcieli uniknąć i mówili sobie: siebie jakoś zawsze zdołamy ukryć, zawsze damy radę zniknąć na czas, a niech tylko praca będzie rozpoczęta. Piątki zorganizowano, ośrodki uruchomiono. Tymczasem korzystali w pełni z radości wspólnego przebywania — i mieszkania ich zawsze pełne były ludzi z ruchu.

Pierwszym, dla którego konspiracja stała się niezbędną, był Marek. Zadaniem jego było zorganizowanie biura technicznego. Ono miało podstawowe znaczenie, bez niego nie można było niczego przedsięwziąć. Miało zapewnić człowiekowi swobodę ruchu. Była to przecież epoka papierów, świstków, pieczętek, przepustek, legitymacji, dowodów, słowem — nie można było domu opuścić bez całego pliku dokumentów. A cóż dopiero jeżeli się było Żydem. Trzeba było mieć przy sobie wszystką możliwą, by udowodnić, że się nie jest Żydem. Nie wystarczała sama buta i pewność siebie. A tu

z dnia na dzień przepisy wymagały nowych papierów, szczególnie dowodów pracy.

Przy tym musieli się ludziom ułatwiać opuszczanie ghetta i dowolne wchodzenie do niego. Wreszcie byli tacy, którzy dla swego wybitnego typu rasowego, w żadnym wypadku nie mogli zamaskować swego żydowstwa. Włec i tym trzeba było zapewnić swobodę ruchu na podstawie odpowiedniego dokumentu. Materiał był olbrzymi. Marek, z amatorstwa zecer, rysownik, rytownik, radził sobie z materiałem doskonale. W dodatku miał dzielną pomoc w Czešku.¹⁾ Mały, zwinny, powszechnie przez swój dowcip lubiany, miał dostęp do rozmaitych kół, przede wszystkim urzędowych. Cieszył się dziwnym zaufaniem ludzi, pracujących na rzecz rządu. Miał znajomości w urzędach pracy, na posterunkach policji, a wszędzie uważali go za swojego człowieka. W dzielnicy patrzyli na niego trochę niepewnie, dopatrywali się w nim tajniaka. Ludzie słabszego charakteru starali się o jego względy, ubiegali się o protekcję. Umiał rzeczywiście zaradzić tu i ówdzie. Rozwikał już niejedną sprawę, od chwili utworzenia dzielnicy wprowadzał i wyprowadzał ludzi. Z wszystkimi policjantami był za pan brat, wszyscy byli mu za coś zobowiązani. I byłby naprawdę niemiły z tą popularnością wśród czynników oficjalnych, gdyby nie fakt, że postanowił wykorzystać ją dla sprawy. Nagle odkryto w nim zupełnie męską odwagę. On, którego znali dotychczas z wesołych dowcipów, żywych dzienników, koncertów na akordeonie i sztubackiego humoru, okazał się teraz jednym z najdzielniejszych ludzi. Po prostu nie wahał się przed niczym. Kiedy przyszedł do jakiegoś urzędu, leniwie, jedną ręką witał się z wachmeistrem, drugą tymczasem wyciągał blankiety, formularz, nierzadko nawet pieczętki. Wykorzystując znajomości, zakupował w sklepach artykuły, niedopuszczalne dla ludności cywilnej.

Zastanawiano się nawet trochę w kierownictwie, czemu przypisać tę zmianę, jaka w Czešku zaszła. Dotychczas bowiem nigdy nie zdradzał specjalnego oddania ruchowi. Był

tylko miłym żartownisiem, aranżował wieczory humorystyczne, ale nigdy nie był zdolny do poważniejszego czynu.

Niewiadomo było, czy to co robi obecnie i co narażało go bezustannie na kule, wynikało z pełni świadomości i oddania sprawie. Trudno było w to wierzyć.

Ale razu pewnego późnym wieczorem, z ust Czeska, z których zawsze sypały się tylko dowcipy, wyszły słowa, nieledwie wyznania. Wyprowadził z dzielnicy dwójkę ludzi, teraz dopiero odprowadził Justynę do domu. Była już godzina dziewiąta, ulice były opustoszałe, można było swobodnie rozmawiać.

— „Muszę ci teraz powiedzieć — zaczął znenacka Czesiek jakimś wzruszonym głosem — to, co już chciałem od dawna wyrazić wam wszystkim. Wiem dobrze, że mi nie dowierzacie. Dałem zresztą powody ku temu, trzymałem się trochę z daleka od was, choć zawsze kochałem was jednak. Ale wiesz, był okres taki, kiedy my tu w Krakowie, nie tworzyliśmy niczego konkretnego, żyło się po prostu wspomnieniami. A dla mnie nie jest takie życie. Nie lubię clikiwości, ani sentymentalizmu. Więc po prostu dowcipkowałem, kiedy się dało, albo trzymałem się z daleka. A dziś otwiera się nowy świat. Jak ja tęskniłem za takim życiem wolnym, bez zapór, bez fałszywych skrupułów! Teraz wiem, że się rozwinię w całej pełni, że pójde wszędzie, dokąd mnie poślecie. Wam się czasem zdaje, że jeśli ja czasem popełniam szaleństwa, przynoszę rzeczy za które na miejscu dostałbym kulę w łeb, to robię to z wrodzonej mi lekkomyślności. A tymczasem ja świetnie wiem, co robię. Spodziewam się śmierci w każdej chwili i tylko chciałbym jak najwięcej zrobić”. Justyna taka była zaskoczona tym „credo”, że nie umiała się zdobyć na słowo odpowiedzi.

Czesiek nigdy nie powiedział tak wiele w poważnym tonie. I czuła, że jej obowiązkiem jest powtórzyć to wszystkim innym, bo Czesiek na pewno nie zdobędzie się na takie wyznanie. I kiedy mówiła mu „dobranoc”, myślała sobie, że jutro powtórzy to Markowi, Dolkowi i wszystkim zresztą, ale nie powiedziała nikomu. Za to Czesiek nadal robił swoje.

Znosił wszystko, co tylko mógł. Najwyższym instancjom kradł, co się dało. A Marek umiał wszystko praktycznie wykorzystać. Każdym łupem cieszyli się we dwójkę.

W krótkim czasie biuro techniczne operowało wszystkimi możliwymi środkami. Tylko jednej najistotniejszej rzeczy brakło Markowi — locum. Zrazu nosił swe biuro w kieszeni palta. Gdy trzeba było coś zrobić, szukano na gwałt wolnego pokoju, po czym rozkładał swe biuro na serwecie i urzędował póki się na schodach nie rozległy kroki. Wówczas całe biuro w jednej chwili znikało w kieszeni, a gdy drzwi się otwierały, przy stole siedział człowiek najniewinniej zaczytany w gazetę. Z czasem kieszeń nie mogła zmieścić całego urzędu. Wtedy pojawiła się teczka. Z nią to spacerował Marek po ghetcie, urzędując co pół godziny gdzie indziej, zależnie od tego, kiedy ktoś z właścicieli powracał do domu. Nierzadko zdarzało się, że znikał wraz z swym biurkiem w łazience i wracał za pół godziny z gotową robotą. Był przedmiotem żartów serdecznych towarzyszy. Jednakowoż ze swym wędrującym biurem, był równocześnie symbolem całego ruchu, który z niczego stworzył wiele i który nie mając żadnych warunków zewnętrznych, wykuł wszystko dzięki silnej woli i wytrwałości. Było to jednak igranie z ogniem. Z czasem już dwie teczki wypchane grubo, nie mogły pomieścić biur. Materiału przybywało, za Markiem trzeba było nosić teczki, pudła, maszyny do pisania i szereg pakuneczków.

Sam bowiem nie mógł sobie poradzić z ciągłym przenoszeniem. Na noc nie było tego gdzie zostawić, a wczesnym rankiem ruszała cała karawana z miejsca na miejsce, bo Marek rozpoczynał swoje codzienne, tułaczce urzędowanie. Tak więc narażało się szereg mieszkań w dzielnicy, bo nigdy nie było wiadomo, gdzie ktoś niespodzianie wpadnie do mieszkania i ujrzy niespodzianie olbrzymią pracownię. Narażeni byli ludzie, którzy musieli pomagać mu, choćby w samym bezustannym transporcie biura, a wreszcie narażonym był sam Marek.

Jak długo wszyscy siedzieli w dzielnicy, nie groziło mu na

razie nic. Nie grali żadnej roli, a tylko przygotowywali się do lotu. Nie było realnego punktu zaczepienia, dla którego mieliby być ścigani. Tylko Marek jeden mógł w każdej chwili wpaść. Spośród wszystkich on jeden miał blankiety, pieczętki, wszystko to, co mogłoby go przyprowadzić o niechybną śmierć. Niebezpieczeństwo było poważne zarówno dla Marka, jak i dla samego biura, a więc tym samym dla sprawy. Biuro trzeba było umieścić koniecznie gdzieś w ukryciu i zamieszkać przy nim. Trzeba było poważnie rozpocząć konspirację. Zaczynało się zadanie Justyny.

(Luka w rękopisie)

Uciekłem z pracy, z domu, zewsząd. Mogę tylko iść w lasy. Tam będę wreszcie sobą. Wraz ze mną szedł Benek⁽¹⁾). Miał również za sobą służbę wojskową. Mówiono o nim kiedyś, że zaginął na froncie. Ale po dwóch miesiącach niewoli zjawił się nagle w domu. Był potem jakiś niewyraźny. Przez długi czas nie stykał się z nikim. Ostatniego lata ożywił się nagle. Począł organizować placówkę rolną, gdzie miał pracę w rządowym majątku rolnym, jako ekonom. Chciał zatem przyjąć do roboty swoich ludzi, by w ten sposób skupić ich na roli. Sam na swojej pozycji był pewny siebie. Kto wie, może przetrwał by już spokojnie całą wojnę. Gdy jednak padło hasło „do lasów”, stanął przed Dolkiem i powiedział: — jestem gotów. Potem szedł Edwin⁽²⁾). Był wychowankiem Marka. Przy swej bujnie rozwiniętej inteligencji i rozmachu, byłby wielką wartością, gdyby nie ambicja, która go rozpierała. Ona to kazała mu być wszystkim, tylko nie sobą. Więc naśladował Marka, później Dolka, bo zdawało mu się, że musi wszystkim dorównać. A nie chciał zrozumieć, że gdyby był sobą, t. zn. dzielnym, rozgarniętym i serdecznym w pożyciu chłopakiem, toby wartość jego była znacznie większa, niż wtedy, kiedy chciał przejść siebie samego. Nikt przecież nie zaprzeczał mu zdolności. Liczono nań zawsze bardzo poważnie. W ostatnich latach zaliczano go do pracowników, którzy mieli w przyszłości odbudować ruch. I mieliby z niego na prawdę wiele pociechy, gdyby nie to, że sztabacką fanfaronadą psuł efekt wszystkiego, co robił. Ostat-

nio przybył z Warszawy. Od chwili śmierci Nuśka reprezentował placówkę warszawską. Teraz wyrwał się stamtąd, żeby iść w lasy. Tężyzna fizyczna, lata przebyte w przysposobieniu wojskowym, ambicja, która w nim bywała często zdrowa i twórcza, a przede wszystkim zupełna gotowość, stawiały go w rzędzie najodpowiedniejszych obecnie sił. Wraz z Edwinem przybył z Warszawy jego wychowanek Adaś¹⁴). Stosunkowo był młody, ale to było bez znaczenia. W ich przedwczesnej dojrzałości różnica roku czy dwóch nie grała żadnej roli. Ważne były nie lata, ale przeżycia, Adaś miał ich za sobą dość. Przeżył wysiedlenie w Bydgoszczy, całą gehennę warszawską, stracił matkę (umarła na suchotę) i ojca (umarł na tyfus). Dla niego nie było już innej drogi, tylko do lasu. Miał zdrowy charakter i dużo zapału. Mógł śmiało stanąć w pierwszej piątce.

Wreszcie Zyga¹⁵). Znali go wszyscy z tego, że był wiecznym partnerem Czeska i żywym jego kontrastem. Bo, choć towarzyszył mu w ciągłych żartach, to przecież dowcip Zygi był głębszy, posiadał niejako swój ciężar gatunkowy. Nie trwonił go tak, jak Czesiek. Z zaciśniętych jego ust rzadko wydobywało się jakieś słowo. A kiedy już padło, to krył się w nim cały świat ciętego humoru. I gdy wszyscy dokoła pokładali się ze śmiechu, patrzył na nich jakby z politowaniem, jakby współczuł ich świetnemu poczuć humoru i jakby chciał zapytać: — „więc to nazywacie dowcipem, biedni, ograniczeni ludzie“?

Nikt jednak nie znał go z drugiej strony. Nikt nie znał jego duszy, w której głębi rozgrywały się małe i wielkie tragedie. Wiedzano tylko, że to mężny, uczuciowy chłop i że na nim można polegać. Bo pod tym dowcipem kryła się niezwykła powaga życiowa, która uderzała w każdym zetknięciu się z nim. Kiedy „wysiedlono“ mu matkę i siostrzyczkę, zaciął się w sobie i milczał. Niedługo potem poszła z „transportem“ z Rymanowa jego Runka, wążka dziewczyna o subtelnej duszy i przecudnym wysokim sopranie. Zyga był złamany. Dolek przygarnął go i ogrzał go ciepłem swojego serca. Uspokoił się przy ich boku, ale nie odnalazł jeszcze siebie. Dopiero, gdy padło hasło „do lasu“, odnalazł się. Był gotów. Nie tylko gotów, ale czekał na to. Tylko to jeszcze mogło go uratować.

Był intendentem swojej piątki. Wyekwipował ją dostatecznie, tylko broni jeszcze nie było. Na broń czekali wszyscy w napięciu.

Aż pewnego pięknego dnia wróciła Hela^(*) z Warszawy. Przyszła do dzielnicy uśmiechnięta, różowa i jasna. Była ładnie ubrana, w rękę trzymała nową torbę podróżną. Szła swoim pewnym krokiem, wyniosłe odpowiadając na hołdy, składane jej wzrokiem przez przechodniów. Zdawałoby się, że nic jej nie obchodzi więcej poza tym, żeby być podziwianą. Kto widział ją w pociągu, flirtującą na prawo i na lewo, lub idącą wśród zalotnych uśmiezków przez peron, ten mógł ją podejrzewać o wszystko. O to, że jedzie w odwiedziny do swego narzeczonego, o to, że wybiera się gdzieś na wywczas, o to, że może nawet uprawia pasek, ale cokolwiek o niej myśleli, było pewne, że wszystko robi dla uciech tego świata.

(Luka w rękopisie)

Kiedy w punkcie nie było grosza, ani kawałka chleba w kuchni, ona spod ziemi wydobywała wszystko, czego było potrzeba.

Kiedy rozpoczęło się wysiedlenie Warszawy, poczuła, że ona jedna musi ratować wszystko. I nie spoczęła, aż nie wyrwała z płonącego miasta tych, których zdołała uratować. Kilkakrotnie jeździła tam i z powrotem, za każdym razem wchodząc do ghetta warszawskiego, z którego mogła już nie wyjść. Była pierwszym łącznikiem, który stanął do dyspozycji ruchu. W ciągłych rozjazdach torowała sobie drogę niezwykłą swadą i urodą, taką charakterystyczną dla kobiety tegiej, zdobywcej i zadowolonej z siebie. Zapewne nikomu z przypadkowych towarzyszy jej podróży nie przeszło przez myśl, że Hela przewozi broń. Pod luźnym sportowym płaszczykiem miała zawieszone dwa browningi — w nowej podróżnej torbie wiozła sztuki i kilka magazynów z nabojami.

Jeszcze nigdy nie witano nikogo z takim wzruszeniem, jak teraz witano Helę; jej przyjazd otwierał nową epokę. Przywiozła broń. Leżała potem tu Dolka na tapczanie i odpoczywała. A tu co chwila kto inny wchodził, witał się z nią serdecznie

i ukradkiem rozglądał się po małym pokoiku, żeby dostrzec to, co w tej chwili było najważniejsze. Więc najpierw Mira¹¹⁾, potem Anna, Justa, ale żadna z nich nie otworzyła torby, zawieszanej na ścianie. Dopiero gdy przyszedł Marek, zamknięto drzwi i rozpoczęły się oględziny. Tego chyba nikt nie zrozumie, co to była za radość mieć własną broń. Dopuszczali się przecież dotychczas stokroć innych przestępstw, które kwalifikowały ich na szubienicę. Ale posiadanie broni było przestępstwem najcięższego kalibru i jeżeli ludność mimo szalejącego terroru, ukrywała przed władzami to i owo, to właściwie nie wiadomo, jakim cudem mogła gdzieś jeszcze znajdować się ukryta broń.

Przed trzema laty, gdy armia nieprzyjacielska wkroczyła do kraju, pierwszym krokiem władz okupacyjnych było odebranie wszelkiej broni, a w ślad za tym poszły rewizje, które spod ziemi nawet wydobywały każdy rewolwer, każdy bagnet; nawet naboju pojedynczego nie przepuścili.

I było nie do pomyślenia, aby gdziekolwiek jeszcze przetrwała niewykryta broń. Żadna armia okupacyjna nie spenetrowała tak gruntownie prywatnych mieszkań, jak tu oto. Nigdy cywilna ludność nie była tak bezbronna wobec terrorystycznych rządów militarnych, jak na tym terenie, a gdy teraz powstało zagadnienie broni wśród młodzieży powstańczej, każdy zachodził w głowę, jak ją zdobyć. I każdemu zdawało się, że nie zdobędzie jej nigdy.

Cóż to więc była za radość posiadać broń.

(Luka w rękopisie)

...temu, że tamci umieli nawet spod ziemi wykryć. Posiadać broń, którą skieruje się przeciw nim w odpowiedniej chwili... Marek rozkłada browning na części. Cieszy się tym jak dziecko. Wygląda jak chłopak, który wreszcie dostał upragnioną zabawkę. I nie wiadomo, kto w nim jest szczęśliwszy: czy mężczyzna, który zdobył narzędzie walki, czy chłopak, który bawi się oczekiwanym przedmiotem.

W każdym razie jest szczęśliwy w takim stopniu, w jakim był dawniej. Gdy później schodzą się z Dolkiem, atmosfera

staje się jeszcze bardziej ożywiona. Budzi się w nich chłopięca wprost wyobraźnia. Snują plany potyczek. Potrafią we dwóch zaskoczyć i rozbroić sześciu. Zdobywszy sześć spluw za jednym zamachem, mogą uzbroić jeszcze sześciu swolch. Tym systemem mogą zdobywać stale broń, by po krótkim czasie mieć cały oddział uzbrojony. Tak więc wystarczy tylko na początek kupić pięć sztuk, resztę można zdobyć o własnych siłach.

Byli obydwaj dojrzałymi mężczyznami. Widzieli życie takim, jakim ono było — znali wszystkie zasadzki, jakimi los mógł się posłużyć. I jeśli czasem Marek zapędził się w swej pełnej rozmachu młodzieńczości, Dolek trzydziestoletni mężczyzna — umiał zawsze w miejscu utrzymać go. Ale teraz obaj dali się ponieść fantazji i zdobywali cały świat. To nie była właściwie fantazja. Wszystko, o czym mówili, leżało istotnie w ich możliwościach. Ale to były tylko możliwości, które mogły się zrealizować lub nie. Bo przeciw nim stał zawsze i wszędzie przypadek, spłot nieprzewidzianych okoliczności, a nade wszystko przewaga najlepiej w świecie uzbrojonego żołnierza nad młodym chłopcem.

Czy jednak w tej chwili nie widzieli żadnych przeciwnieństw?... Moc, która rozpierała ich od wewnątrz, kazała niezlomnie uwierzyć, że osiągną to, czego chcą. Że tych pięć pistoletów otworzy im drogę bezustannego zdobywania, aż w końcu staną się siłą, która porwie za sobą masy. Więc skoro teraz, na jesień, ruszy pierwsza plątka, to z wiosną już lasy zaroją się licznymi gromadami uzbrojonej młodzieży. A choć padać będą w walce, to na miejsce jednego poległego przyjdą dziesiątki nowouzbrojonych. Tak wierzyli.

A przecież mogło się zdarzyć inaczej. Wspomnienie tragicznej porażki w Warszawie wciąż trwało w pamięci niby krwawe memento mori.

Tam wszystko było już do wzlotu gotowe. Cios padł w przeddzień odlotu. Mieli już swój arsenał, swoje kadry wyćwiczone.

Dwudziestka wyruszyła w Lubelskie. Część wyłapano w pociągu. Reszta zajechała do Międzyrzecza. Grunt do walki nie był jeszcze gotów. Trzeba było odczekać parę dni. Niespo-

dziewanie przyszło „wysiedlenie”. Kilku z nich zaledwie zdołało uciec. Reszta padła ofiarą. A byli to najlepsi spośród młodych. Mieli jednak jeszcze silne zaplecze w Warszawie. Więc w miejsce tych poległych mogło iść wielu nowych. Nagle, ni stąd, ni zowąd, kierownik wpadł w ręce władzy... Momentalnie zrozumiano, że trzeba oczyścić grunt. Poczęto przenosić broń. Wtedy jedno poszło za drugim. Schwymano ludzi, schwytano broń, choć nikt nie działał w panice, choć wszystko robiono z rozważą. Trudno — byli osaczeni. Niewiele pomogło, że Szmuel bronił się do ostanka, że każdy trzymał się dzielnie. Odeszli ci, co byli duszą wszystkiego. Pozostała siedemdziesiątka bez drogowskazu. Cóż mieli począć ze swoją gotowością?

Ten sam los mógł ich też spotkać w Krakowie. Mogli ponieść klęskę, nim wyruszą w drogę... A oni tymczasem widzieli już wiosnę, niosącą im wolność, zwycięstwo.

Z końcem tygodnia wyruszyło...

(Luka w rękopisie)

A w cieniu tych wydarzeń dojrzewali nowi ludzie. Kiedy w lipcu zapadła decyzja, że chwycą za broń, nie werbowali nikogo. Uznali bowiem, że na tę drogę wkroczyć powinni tylko ci, w których od wewnątrz odezwał się bunt. Nie chcieli nikomu narzucać tej decyzji, która wiodła człowieka na zagładę. Każdy miał przecież prawo ratować się.

Nie wiadomo było wprawdzie, na jak długą metę można się było zabezpieczyć. W każdym razie były możliwości. Można się było urządzić prywatnie, zaszyć się w głuchą wieś, zamaskować się i patrzeć tylko końca swego nosa. Mogli poza tym umieścić się na pewnej placówce wojskowej w charakterze czarnych robotników, czekać końca wojny.

Zawsze przecież były sposoby na asekurowanie siebie, a zawsze byli ludzie, którzy nawet wtedy, kiedy było jedyne wyjście na szeroką drogę społecznego czynu, znajdowali sobie furtkę na ciasną ścieżkę ratowania siebie. Każdy miał prawo rozporządzać swym życiem.

I choćby rozporządzał nim nierozsądnie, miał prawo tak uczynić.

W Kopalinach do ostatniej chwili nie padło jedno słowo o walce. Antek, Marek i Justa już dawno nie byli panami swego życia, a inni nie przeczuwali nawet, co się gotuje.

Raz tylko Antek odezwał się do Justy:

— Wiesz, wobec tego co się dzieje, pozostałoby tylko jedno: wskrzesić w sobie wiarę, że istnieje jakaś wyższa sprawiedliwość, która nas pomści. I że istnieje jakieś przyszłe życie, które nam wynagrodzi doczesne cierpienie.

Na ustach Justyny zamigotał drwiący uśmiech:

— Innego wyjścia nie widzisz?

— Istnieje jeszcze droga inna, ale ta byłaby szaleństwem.

— A cóż nam pozostaje poza tym szaleństwem?

— Nie pomyślałem o tym.

— Jak można było o tym nie pomyśleć? — Justyna straciła panowanie nad sobą — tego nam właśnie historia nie wybaczy, że się „nie pomyślało o tym”. Któryż to zdrowo myślący człowiek znośliby to wszystko w milczeniu?

Gdzież była ta wielka przyczyna, która mogła powstrzymać nas przed jedyną reakcją dziwnego człowieka? Historia potępi nas na zawsze, a jedyną reakcją (jeśli pozostało nam jeszcze jakieś wyjście) to ratować w przyszłości swoją duszę, skoro i tak się jest straconym. Przynajmniej pozostawić po sobie pamięć, której ktoś kiedyś złoży cześć.

Więcej ani słowo nie padło o tym. Myśl może dojrzewała w tym i owym umyśle, ale nikt nie mówił o tym głośno: Czekało. W Krakowie wszyscy w poczuciu ważności zdarzeń, które mogą nastąpić, pragnęli w nich wziąć udział.

A byli naprawdę młodzi. Najmłodsza wśród nich była Czarna¹⁸⁾. W tej chwili miała piętnaście lat, ale nikt nie chciał temu wierzyć. Była duża, silnie rozwinięta, naprawdę śliczna, w grubej koronie włosów na głowie. W jej zdrowym ciele mieszkła dusza krzepka i dzielna. I tak dojrzała, że każdy, kto przebywał z nią, mógł znaleźć w niej taką podpórę, jakby była dorosłą kobietą. Nic dziwnego zresztą. W jej rozwoju nie było stopniowego przejścia od dzieciństwa przez pokwitanie ku dojrzałości. Można śmiało rzec, że wieczorem zasnęła dzieckiem, a rano obudziła się kobietą. Miała dwanaście lat, kiedy

wojna wybuchła. Była jedyną siostrą Marka. Kiedy go uwięzili, rozplakała się jak małe dziecko, ale zatroszczyła się jak matka. Tak w tym płaczu wylała wszystkie swoje dziecięce łzy, a to, co z niej później pozostało, to był już tylko hart kobiety, która chce ratować nie brata, ale bojownika wielkiej sprawy. Dzień w dzień chodziła pod więzienie, dzień w dzień zanosila mu wszystko, co tylko mogła, a kiedy wywieźli go do obozu, podtrzymywała na duchu ojca i matkę. I wierzyła zawsze, że jej Marek musi wrócić. A kiedy wrócił istotnie, wtedy zamiast małej siostrzyczki zaślał siostrę-towarzyszkę. A wtedy jeszcze nie miała trzynastu lat ukończonych. I ciekawa była w niej ta synteza przedwczesnej dojrzałości z dziecięcą zaledwie świeżością, mężnego, hardego ducha, z tryskającą zdrowiem dziewczęcą urodą. A co w tym wszystkim było najciekawsze, to fakt, że nie było w niej ani śladu próżności, ani śladu pychy. Jakby było rzeczą zupełnie naturalną, że wczoraj jeszcze była dzieckiem, a dziś już włożono na jej barki odpowiedzialność za cały dom nieledwie. Przecież nie ukończyła nawet szkoły.

Marek i Justa uznali, że trzeba uzupełnić jej wychowanie szkolne. Rozpoczęli z nią normalne lekcje, a jej młody umysł chłonał wiedzę jak gąbka. Robiła olbrzymie postępy. Wtedy Justa postanowiła pozyskać ją dla sprawy. Był to dopiero pierwszy rok wojny. Justa nie chciała sama zająć się jej wychowaniem ideowym, by na kształtowanie się duszy młodego stworzenia nie wpłynęły węzły rodzinne. Oddała ją w ręce Miry. Odtąd wychowanie jej poszło normalną drogą. Żyła wśród ludzi starszych od niej o dwa, trzy lata, ale dorównywała im w pełni. Nawiasem mówiąc, przewyższała ich w jednym, ale tego starano się nie podkreślać; z czasem zapomniano, że to było dziecko, przedwcześnie w życie wciągnięte. Bez skrupułów wciągano ją w najrozmaitsze trudne zadania. Trudno, już nie można było z powrotem uczynić z niej dziecka. Wszędzie była najmłodsza, ale wszędzie spełniała swą rolę na równi z dojrzałymi. Tak też było teraz w Krakowie. Sam Marek obarczał ją rozmaitymi sprawami, które nieraz wahał się powierzyć starszym. Ją albo Poldka").

Od Kiedy datowała się ich przyjaźń, tego nikt nie wiedział,

jak zresztą nikt nie wiedział, skąd się do tego młodego stworzenia wzięło takie zdecydowane uczucie. Ale, jak wszystko było w niej silne i jasne, tak też i ta przyjaźń była faktem, którego nikt i nic nie mogło obalić.

Ciężkie były losy pierwszej piątki w lasach. Byli tu na prawdę pionierami. Zdawało się, że tu działa jakaś zorganizowana grupa partyzancka, do której wystarczy przyjść gotowym i uzbrojonym, podporządkować się i działać. Trzeba było tylko znać adres, na który należało się skierować, aby znaleźć się w kręgu działalności zorganizowanej.

Nasi mieli swój adres. Ruch działał wtedy w porozumieniu z partią robotniczą. Z jej więc polecenia mieli kierować się do przewodnika, który miał ich oczekiwać na stacji. Oczekiwał ich istotnie. Poprowadził ich przez miasteczko i dał nocleg na skraju lasu.

Nasi byli pełni zapału. Coś niby święte wzruszenie nie pozwalało im myśleć o niczym, tylko o działaniu. Jutro się miało rozpocząć dla nich to cudowne życie. Byli pierwsi, czuli, że torują drogę całemu ruchowi, że muszą zrobić wszystko, by stać się godnymi pionierami. W napięciu czekali.

O świcie zjawił się nowy przewodnik. Zabrał ich z chaty i poprowadził lasami. Nie znał dobrze drogi. Kołował kilkakrotnie. Potem zostawił ich w lesie i poszedł. Nie mieli co począć ze sobą. Straszne to było uczucie: mieć przy sobie broń, pragnąc czynu, a stać beczynn timer w miejscu, w ciszy i nie wiedzieć, gdzie szukać przeciwnika. Zaciśkali pięści w bezsilnej wściekłości. Krążyli po lesie, bo nie chcieli wierzyć, by przewodnik miał ich zwyczajnie wprowadzić w błąd. Więc myśleli sobie, że może odstawił ich jednak na określony punkt, że może jednak tu, w pobliżu, znajduje się stacja partyzancka.

Chodzili, szukali — na darmo. Po dniu daremnego szukania wrócili do chaty pod lasem. Przyjęto ich oziębło. Było to schronienie tylko na jedną, poprzednią noc. W drugi wie-

czór musieli przemocą wdzierać się do wnętrza. Ale ostatecznie byli już pod dachem. Umęczeni, nawskroś rozczarowani, pełni goryczy, pragnęli tylko odpoczynku i zapomnienia.

Zrzucili plecaki. Szykowali się do snu. Jutro, skoro wypoczną i uspokoją się, zrobią własny plan działania. Dziś chcą tylko spokoju. Cisza zaległa wieś. Wszyscy już pewnie śpią. Nagle rozlega się szczekanie psa. Coraz bliżej, coraz głośniejsze. Zyga podrywa się, chłopcy nasłuchują bacznie. Ktoś się zbliża. Wyglądają przez okno. Idzie oddział policji.

Więc zdrada. Nie ma chwili do stracenia. W jednej sekundzie trzeba skupić wszystkie władze. Wyteżyc słuch, naprzężyć mięśnie, opanować się i działać.

Działają sprawnie. Jak jeden mąż. Idzie o śmierć, albo o życie. Teraz jeszcze nie wolno im paść. I bronić się też nie można. Jest ich tylko pięciu na cały oddział żandarmerii. Więc tylko uciekać. A miarowe kroki są tuż, tuż...

Nim oddział dotarł do chaty, chłopcy już byli w lesie. Otoczyła ich ciemność i niezmacona cisza. Zaszyli się w gąszcz. Tym razem udało się. Ale niebezpieczeństwo nie minęło. Policja jest na tropie. Trzeba się mieć na baczności. Trzy dni, trzy noce pozostali w lesie. Odcięci od całego świata, od ludzi. Zapasy żywności wyczerpały się. Mieli tylko jedną kromkę chleba. Symboliczną. Strzegli jej jak ostatniego skarbu. Spijali rosę z traw.

Las był otoczony żandarmerią. Od czasu do czasu rozlegały się strzały. Żaden jednak żandarm nie odważył się zapuścić w głąb. Paniczny strach przed partyzantką tu panował. Wystarczyło pojawienie się tu jednego powstańca, by niepokój zapanował na wszystkich posterunkach policji. Fama tu szła, że partyzanci zalewają całe wsie terrorem, że nikt się im nie ośmieli. Że z karabinem w rękę zmuszają chłopstwo do posłuszeństwa. Że sieją strach i budzą grozę. Więc ci wszyscy żołnierze najpotężniejszej armii świata truchleli na wieść o młodych, uzbrojonych chłopcach. Ufali swojemu męstwu, ale woleli nie stykać się z tymi nieznanymi powstańcami, dokoła których snuła się barwna legenda. Krótko mó-

wiąc, tchórz yli. I w tym tkwi ło zwycięstwo partyzantki. Że łamała butę tych najbutniejszych, że napędzała strachu tym nieustraszonym.

Gdy nasza piątka zjawiła się we wsi, poszła wieść po okolicy, że w lasach ukazał się oddział złożony z trzechset uzbrojonych powstańców. Kto te wieści szerzył, niewiadomo. Powstawały jakby same od siebie. I strach padł na okolicę. Stąd tak szybko wynikła zdrada. Chłopi chcieli zapobiec terrorowi i pospieszyli z donosem. Dwa dni trwała obława. Las był gęsto otoczony, ale nikt nie odważył się zapuścić w głąb. Strzelali z karabinów na chybił — trafił. Huk rozlegał się bezustannie, aż się żandarmi zmęczyli i uznali, że dość, że wytropili już wroga. I obława się skończyła.

Po trzech dniach wyszli chłopcy z lasu. Wygłodzeni, zmęczeni, ale zupełnie spokojni. Czuli się silni, jak na początek, dali sobie radę.

Nie mieli się dokąd skierować, we wsi nie mogli się pokazać, dachu nad głową nie mieli. Przewodnik nie pokazał się więcej. Byli zupełnie sami. Właściwie powinni byli zgłosić to kierownictwu: w Krakowie muszą o tym wiedzieć. Tam tylko można zdecydować, co dalej, więc trzeba pchnąć kogoś z wieścią.

Nim jednak wysłali sprawozdanie, postanowili spróbować raz jeszcze. Nie chcieli posyłać wiadomości, że nie zrobili niczego. Było im po prostu wstyd. Więc chociaż zmęczenia i wygłodzeni, uplanowali na wieczór robotę.

Była ciemna jesienna noc. Przyczółgali się pod posterunek policji. Od wewnątrz nie dochodziły żadne głosy. Mieli zamiar zaskoczyć ich i rozbroić. Po zdobyciu broni, mogli z podniesionym czołem posłać wieść do Krakowa. Jedna chwila — i wszystko poszłoby dobrze.

Ale tamci i wewnątrz nie dali się zaskoczyć. Byli czujni. Ani przez chwilę nie zapomnieli, że dokoła są lasy, a w nich młodzi i gotowi na wszystko ludzie. Siedzieli na posterunku zamknięci na kilka zatrząskó w. Nie otwierali nikomu.

Czy to była porażka? Przenigdy. To było raczej zwycięstwo. Tamci znów dali dowód tchórzostwa. Nie pokonali

piątki, zamknęli się tylko przed nią, nie mając odwagi stać czoła.

Trochę było wstyd odchodzić z kwitkiem, spod zatrzaśniętych drzwi. Mogli je wziąć szturmem. Wysadzić je, wpaść do środka i zdobyć broń. Ale było ich tylko pięciu, a wewnątrz nie wiadomo ilu.

Taka była pozycja partyzanta. Siła jego polegała na tym, żeby zaskoczyć, bo nie w orężu leżała jego moc, tylko w tym, że wprowadza w zdumienie. Że przed żołnierzem, z którego ramienia zwisa ciężki karabin, a u boku tkwi bagnet, staje nagle młody chłopak o jasnym spojrzeniu z małym pistoletem w rękę. I nim się zdumiony żołnierz spostrzeże, czego to dziecko chce — już pada strzał. Partyzant musi zaskoczyć, musi umieć wykorzystać moment nieledwie psychologiczny. Jego moc tkwi w przewadze duchowej. O militarnej nawet nie marzy.

Z chwilą, gdyby zyskał przewagę orężną, przestałby być partyzantem. Stałby się żołnierzem normalnej armii walczącej.

Chłopcy zrozumieli to. Nie mieli fałszywej pychy młodzieniaszków. Woleli odejść sprzed zamkniętych drzwi, niż porwać się na niedopuszczalny czyn. Trzeba umieć nawet klęskę ponieść z godnością. Zresztą nie ponieśli klęski: swej duchowej przewagi nie stracili. To tamci tchórzowsko zatrzasnęli drzwi. To tamci wystawili sobie świadectwo małego ducha.

Tego wieczora jeszcze Edwin pojechał do Krakowa. Jakkolwiek się sprawa miała, nie było tu co robić. W lesie nie można było mieszkać, a tu nie było ani jednego adresu, ani jednego ośrodka partyzanckiego. Ani jednego obiektu działania.

Jak dotychczas, wszystkie możliwości zostały wykorzystane. Teren był po prostu nieodpowiedni. Przewodnik — niesumienny. Nie dorósł do zadania. Miał poprowadzić ich w lasy na odpowiednie stanowisko, wywiódł ich w pole. Właściwie mogli wracać wszyscy. Ale to byłoby coś na kształt dezercji. Pozostali więc na miejscu do czasu powrotu Edwina.

Pobudowali sobie meliny, zorganizowali pocztę. Wypatrywali okolicę. Czy może jednak nie znajdzie się pole działania. Ale bezskutecznie.

Zamknęli się w małym pokoju Ewy⁹⁰). Zastawili szklane drzwi. Mówili przyciszonym głosem. Na tapczanie leżał Edwin — dokoła siedzieli Dolek, Marek, Romek, Maniek. Edwin opowiadał wszystko z szczegółami. Słuchali wzburzeni. Napięcie wzrastało.

Drzwi się uchyliły. Zza kotary ukazała się głowa Justyny. Zniecierpliwionym machnięciem rąk dała znak, by odešla: — Nie przeszkadzać teraz!

Wycofała się posłusznie. A tak bardzo pragnęłaby być z nimi tam wewnątrz! Wiedziała już coś nie coś o tym, co zaszło! Więc gdy się tam teraz ważyły losy ludzi, powinna i ona być wśród tej czwórki. Choć niekoniecznie ona! Powinnaby tam być raczej Anna, Mira, Ewa — ktokolwiek, byle dziewczyna. Justyna tak bardzo boi się o tę plątkę, rzuconą na łaskę i nieszczęście w lasy. Już dawno pogodziła się z faktem, że nadejdzie chwila, a nie będzie nikogo z tych ukochanych chłopców. Ale niech giną przynajmniej w radosnym poczuciu spełnienia, a nie dogorywują wśród pustki i beznadziei.

Tam wewnątrz radzili sami chłopcy: a mężczyźni nie zwykli się wycofywać. Każde wycofanie nazywają klęską.

Więc Justyna przechadza się przed domem podniecona i czeka niecierpliwie na to, co tam uradzą.

— Czego się martwisz, Justyno? — szepcze jej jakiś uspokajający wewnętrzny głos. — Czyś zapomniała, że tam wewnątrz jest Dolek? Ten, dla którego życie ludzkie jest najświętszą wartością. Ten, który już niejednokrotnie okazał, że życie powierzonych mu ludzi jest droższe jemu samemu, niż tym młodym właśnie. Ileż to razy zdawało się, że powstrzymuje ludzi w pędzie, że tamuje ich rozmach! A przecież czynił to wszystko z miłości dla nich. Czuł się najstar-

szym wśród nich i wiedział, że nie wolno mu pozwolić, by padli ofiarą młodości, która ich ponosi. Więc był niby troskliwy jeździec, który mocno trzyma cugle i powstrzymuje w pędzie swe rozhukane rumaki. Ileż to razy najognistszy z rumaków zrywał się, stawał dęba, wierzgał. Ale czujny jeździec umiał go na czas powściągnąć.

Ó, tak, nieraz ścięrał się Dolek z Markiem, gdy go ponosił rozmach młodzieńczy, aż się rozhukany rumak opanował i szedł posłusznie w takt, podawany przez czujnego jeźdźcę. Ale i Markowi można było dziś spokojnie zawieźć losy młodych. Mimo burzącej się w nim młodzieńczości, znał świetnie granice między odwagą a szaleństwem, między bohaterstwem a lekkomyślnością. Umiał powstrzymać się w największym pędzie, kiedy czuł, że przekracza granice zdrowego rozsądku. Nawet potrafiłby się cofnąć, gdyby tego wymagała konieczność.

Więc kiedy Justyna tak myśli o tym, czuje napływ jakby uczucia wdzięczności dla nich, za to, że zapał nie zabił w nich odwagi, a bojowa gotowość troski o życie człowieka. Przecież ponieść chcieli największe nawet ofiary, ale żadna nie śmiała być ofiarą daremną. Więc życia ludzkiego trzeba było przede wszystkim strzec, jak największego skarbu. W tym duchu też zadecydowali tam za zamkniętymi drzwiami.

Nazajutrz pierwszym pociągami wyjechał Edwin z odpowiedzią. Rozkaz brzmiał krótko: — porzucić lasy, zająć do najbliższego miasteczka i czekać dalszych rozkazów.

W ciężkim położeniu znalazło się obecnie kierownictwo ruchu. Kiedy w sierpniu zapadła decyzja pracy i walki orężnej, zdawali sobie jasno sprawę z faktu, że nie są odpowiednio do swojego zadania przygotowani. Byli wszyscy pedagogami, wychowawcami na wielką skalę. Stali od lat na czele tysięcznej młodzieży bojowej. Przywództwo ich miało jednak charakter nawskróś duchowy. Znali dusze swych wychowanków i umieli torować im drogę, w najtrudniejszym nawet życiu być dla nich wzorem bojowości i oddania. —

Ale zawsze ich przywództwo miało charakter duchowy. Praca ich była zawsze twórcza. Najbardziej realny czyn — był duchowy i raz

(Luka w rękopisie)

Oficerami zatem nie byli nigdy i nie czuli się na siłach poprowadzić swych młodych do walki ogniowej. Sami gotowi stać się szarymi żołnierzami, zwykłymi szeregowcami, by oddać się w ręce wielkiego wodza, który zrozumie potrzebę chwili i ich młodzieńczy zapał zamieni w bohaterski czyn. Tak szukali wodza o doświadczeniu wojskowym, bo tego im właśnie brakło.

Odrzucili wszelki fałszywy wstyd i wyszli na jego poszukiwanie. Tak połączyli się z partią robotniczą. Co właściwie wpłynęło na decyzję w tym właśnie kierunku? Przypuszczalnie bezpośrednim bodźcem stała się osoba Lidki¹¹⁾.

Była kuzynką Ewy. Ewa od dzieciństwa wpatrywała się (*z a t a r t e*) nie miała osobistego życia. Zawsze oddana była sprawie ludzi i dla niej zapewne żyła.

Wojna zastała ją we więzieniu. Skazana była na piętnaście lat twierdzy. Po trzech latach, gdy wybuchła wojna — wyłamała się wraz z innymi więźniami zza kraty. Rzuciła się znów w wir pracy. Połączyła się ze swym mężem, aż go zawierucha wojenna nie wydarła. Pozostała wtedy sama z niemowlęciem. Uwolniła się z pracy, wzięła urlop z partii, aby tylko odchowić i zabezpieczyć swoje małeństwo. Kochała je nad życie. Była matką w pełni tego słowa. Praca rewolucyjna nie (*z a t a r t e*) jej macierzyńskiej czułości. Chciała je tam umieścić u krewnych, by wrócić znów do pracy.

Wbiegła do znajomych, ułożyła dziecko na łóżku i wyszła na miasto. Dziecko było piękne i starannie wypielegnowane. Znać, że matka, choć sama przymierała głodem, włożyła w nie całą siłę swej miłości. Kiedy wróciła, dziecko już nie żyło.

Otrzymała się z bólu. Zabrała się znów do roboty. Zamieszkała u rodziców Ewy — i tu zetknęła się z naszym ruchem. Od razu porozumieli się z Dolkiem. Byli sobie ogrom-

nie bliscy. A i Marek znalazł się pod jej urokiem. Stała się dla nich ideałem kobiety dojrzałej, wielkiej bojownicy, o serdecznym kobiecym sercu. Jej osoba i wartość osobista ka-
zały wierzyć w siłę partii.

Tak powzięła decyzję współpracy. Postanowili iść ręką w rękę, dzielić się wszystkim. Udział nie był jednak równy. Jeden dawał swą młodość, a może swe życie — a drugi tylko doświadczenie.

Wkrótce okazać się miało, że nie tylko (*zatar-te*) były nierówne, ale (*zatar-te*) oddania.

(Luka w rękopisie)

Stosunki stawały się coraz trudniejsze. Lidia robiła co mogła. Starła się pokrywać mankamenty, troszczyła się o każdego wysyłanego człowieka, ale to już nie ratowało sytuacji. Jednego bowiem nie wyjawiała im szczerze: Ze partia na tym terenie nie działała aż do chwili jej powrotu i, że stało się to jedynie i wyłącznie dzięki zapałowi i gotowości młodzieży żydowskiej.

Prowadzono długie narady, a słowa Lidii sprowadzały się do następującej treści: to prawda, że mamy mało doświadczenia. Zdobywajmy je (*zatar-te*) a nadrobimy czas.

Odpowiedziano jej:

— Wy chcecie zdobywać je naszym kosztem. My (*zatar-te*) płacimy zbyt wysoką cenę, za którą musimy rozwinąć się jako niezależny ruch.

— Zostańcie — mówiła ze swym kobiecym czarem — staniemy się razem silni.

— Nie, rozwiniemy się jako samodzielna siła. Potem przyjdziemy do was jako równi do równych. Nie będzie zależności, nie będzie hierarchii.

Na tym się rozstali.

Grabież odarła masy ze wszystkiego — rząd wśród rozlew krwi zbierał srebro, złoto, futra, gotówkę. A bojowa młodzież żydowska jadła suchy chleb, mieszkała po strychach, piwnicach, chodziła w podartych butach, w jednej koszuli i z trudem zdobywała pieniądze na podróż. Czyż

trzeba się było wahać? Nie, nie było środka, który się mógł okazać niegodnym: każda droga była słuszną, jeśli prowadziła do celu i jeśli dyktowała ją konieczność historyczna.

Zabrali się do (zatarte). Pracy im nie przybyło, odpowiedzialności też nie. Poprawiło się tylko samopoczucie. Liczyli wyłącznie na siebie i to dawało im radość. Wstąpili więc w tę nową fazę pełni odwagi i z miejsca przeprowadzili reorganizację.

Finanse już od dawna domagały się reorganizacji. Budżet przewidywał tysiące złotych tygodniowo. Ludzi przybawało, a ich utrzymanie aczkolwiek skromne, stawało się w sumie poważną pozycją. Nadto administracja, rozjazdy, a przede wszystkim zakupno broni pochłaniało tysiące za tysiącami. W kasie był stale deficyt.

Romek był referentem kasowym. Niewiedomo skąd zdobywał tyle pieniędzy. Faktem było, że ilekroć zasepiąły się twarze na myśl o tym, że znów nie ma pieniędzy na najważniejszy wydatek, zjawiał się z grubo wypchanym portfelem i ratował sytuację. Przy pierwszym obliczeniu kasa była mu dłużna 11.000 złotych. Biuro techniczne przynosiło dość poważne dochody, były one jednak nie wystarczające. Trzeba było zdobyć większą sumę pieniędzy i to drogą — z mieszczańskiego punktu widzenia — niekoniecznie uczciwą. Czas już był najwyższy porzucić te skrupuły. Ciężko zapracowany pieniądz żydowski wśród mordów przeszedł w ręce rządu.

Nowe zadania wyłoniły się przed płatką. Wzmocniono ją o dwóch ludzi. Przybył Harry²²⁾, z grupy Mańka i Ignac²³⁾, z grupy Romka. Harry barczysty, powolny, rozważny chłop, Ignas młody, zwinny, zawzięty chłopak. Podzielono ich na dwie grupy. Edwin, Emil, Harry, trzej rośli o imponującej postawie, kulturze światowców, znajomości języków, zaopatrzeni w broń i odpowiednie dokumenty, ruszali na zdobycie.

Każdą zdobytą sumę mieli odprowadzić do rąk kierownictwa w Krakowie. Ich łącznikiem została Hela. Tak przystąpiono do realizacji pierwszego zadania.

Benek, Zyga, Ignas, Adaś wyruszyli w lasy. Mieli obrać

teren działania, zbadać gruntownie okolice, zorientować się w obiektach, słowem, przygotować grunt pod samodzielną pracę. To było drugie zadanie.

Teren obrony w lesie miał zostać otoczony siecią mieszkań prywatnych, każde z nich miało być urządzone, zamieszkałe stale przez jedną osobę. Po każdej robocie chłopcy mieli opuszczać las i przeczekać tydzień lub dwa w mieście, w mieszkaniu. To było trzecie.

W tych samych dniach wyjechały Ewa, Klara i Hela na poszukiwanie mieszkań. Rozpoczęli budowę ruchu o własnych siłach.

Były jeszcze punkty ruchu, do których nie dotarło wysiedlenie. Przypominało to płomień, który nie ogarnął jeszcze całego gmachu, ale który ugasić się nie dał i że wcześniej czy później, musiałyby dotrzeć wszędzie. Więc czekało się na nie, jak na nieunikniony cios.

Trzeba było przygotować ludzi, aby w chwili rozpoczęcia akcji nie byli zaskoczeni. Takim właśnie punktem był Tomaszów. Tu było gniazdo Mirki, w którym pracowała od dawna, tu wychowywała sobie młode pokolenie pracowników ruchu. Tu była cała jej nadzieja na przyszłość.

A kiedy teraz fala wystedień zbliżała się do jej gniazda, rzuciła się na nie, by je bronić. I znów poczęła jeździć po swej dawnej linii Kraków—Tomaszów, przedzierać się do ghetta, do swoich drogich ludzi. Lecz miast malować przed nimi — jak dawniej — obrazy jasnej przyszłości, miała im rzucić tym razem krótkie hasło: do boju!

Jeździła niestrudzenie, przywoziła im dokumenty, zbierała pieniądze na broń i wracała zawsze rozradowaną. Taka w niej już była dziecięca wprost, cudowna radość, taka pogoda, że kiedy nawet chmurzyła się, błł od niej blask, niby od słońca. I do wszystkiego podchodziła niemal beztrudno, powiedziałabyś — z dziecięcą lekkością.

Miło było patrzeć jak przygotowywała się do podróży. Zazwyczaj wyjeżdżała wieczorami, a wtedy jej mieszkanie

było przepelnione gośćmi. Wszyscy bowiem chcieli widzieć, jak ona krząta się, przejęta zupełnie tymi przygotowaniami, a jednak wcale nimi niewzruszona. Jakby nie myślała o tym, że przed nią jest podróż, która kryje w sobie niebezpieczeństwo.

-- Mira jest chyba najodważniejsza z nas wszystkich — mówiła kiedyś Anna do Justyny. -- Bo przecież nie na tym polega odwaga, żeby przełamać w sobie strach i przezwyciężwszy się, stanąć jeszcze na posterunku, — ale na tym, by ani na chwilę nie zadrzeć, ani przez chwilę nie łamać się w sobie, a Mira na prawdę nie zna strachu.

Istotnie Mira narażona była poważnie. Nie miała odpowiednich warunków do maskowania się. Była drobna, miała szybkie, ale pełne godności ruchy. Szczególnie martwił ją czarny kolor jej oczu i włosów.

Z tych ciemnych oczu padały jednak wciąż iskry i sypały się uśmiechy, które rozbijały tego, kto na nią spojrzał. Jeśli się zdarzyło, że ktoś popatrzył na nią podejrzliwie, wnet cofał się, rozbrojony jej jasnym spojrzeniem. Tak torowała sobie drogę swoim czarem osobistym, wdziękiem, któremu trudno się było oprzeć.

Powoli zaczęli napływać pracownicy z Tomaszowa. Pierwsze zjawily się Irka i Halina¹⁾; zjechały do Krakowa, stawily się na punkcie łącznikowym. Pod dzielnicą funkcjonował od pewnego czasu punkt²⁾. Urzędował w nim Alek³⁾. Całymi dniami siedział w domu i przyjmował ludzi. Kiedy kto przyjeżdżał, przychodził tu po rozkazy, które co kilka godzin napływały. Kto miał wyjechać, tu otrzymywał wskazówki i pieniądze, kto miał pozostać, dostawał przepustkę do ghetta, lub nocleg w mieście.

Tak więc dziennie przewijały się dziesiątki ludzi przez punkt Alka. Coraz więcej było gotowych, coraz to nowi się zjawiali. Sieć mieszkań rozbudowywała się wciąż gęściej. Kiedy Irka zjechała do Krakowa, wysłano ją natychmiast na punkt w Dębicy.

Piątki formowały się. Czekano tylko na hasło z lasu. Hasło jednak nie nadchodziło. Czekano bezustannie. Aż pew-

nego piątkowego poranku zjawili się w Krakowie Zygmunt i Adaś. Byli trupio bladzi. Zgłosili się do Alka. Zażądali natychmiastowego widzenia z Dolkiem i Markiem. Skontaktowano ich bezzwłocznie.

Poranek był ponury, duszność jakaś przesycala powietrze. Ołowiane chmury wisiały nad miastem.

Powinny się były nieba rozplakać, ulice zasnuć kirem, ze wszystkich gardzieli miał się ozwać krzyk rozpaczny. Ze wszystkich oczu trysnąć łzy. A tu nic.

Tłumy przewalały się przez ulicę. Przechodnie w pośpiechu trącali się, popychali. Jeden nie zwracał uwagi na drugiego. Gnała ich przed siebie codzienna troska o chleb, walka na nerwy, bezcelowy byt. Pod jej ciężarem ugiął się mały człowiek, nachylał do ziemi, łamał niemal cały.

A między tymi tłumami posuwało się dwóch młodzieńców twardym krokiem. Szli powoli. Opuścili zasępienie czoła, wzrok wbili w bruk. Posuwali się krok za krokiem. Serca w nich były cicho. Oto wracali z żałobną wieścią. Przed jasne oblicza towarzyszy mieli rzucić niby krwawy plon, smutne, ociekające krwią słowa.

Wyjechali we czwórkę: Benek, Adaś, Zygmunt i Ignaś. Zajechali w lasy, zaszyli się w odludzie. Znaleźli odpowiedni teren. Tu rozbili namioty. Rozpoczęła się praca. Całymi dniami robili pomiary, rysowali mapy: zorientowali się w okolicy, zbadali obiekty działania, ustalili bazy operacyjne. Nakreślili punkty wypadowe, spenetrowali całą okolicę w promieniu kilkunastu kilometrów. Rozbudowali schrony, przygotowywali grunt pod pracę. Byli wyłącznie w lesie. To był ich cały świat. Nie wydawali się stąd ani na krok, do wsi nie chodzili. Znali tylko jednego czy dwóch gospodarzy na skraju lasu. Co kilka dni zaglądali w pojedynkę do wsi, zaopatrywali się w żywność i ukradkiem wracali do boru. Wieś była niebezpiecznym terenem. Czujność była tu wzmożona, okolica zdawała się wyludniona, drogi były puste, głucha cisza panowała tu dniem i nocą. Każdy kto się znalazł pomiędzy chatami był podejrzany. Strach tu panował przed partyzantką. W każdym obcym dopatrywali się powstańca, jeśli nie de-

santa. Żadne dokumenty nie mogły wykazać wiedy niewinności. Podejrzenie było równoznaczne z wyrokiem. Sami chłopcy poruszali się we wsi niepewnie.

Chłopcy nie (*zatar**te*) zresztą ku osadzie. Było im dobrze w lesie, nie tęsknili za ludźmi, za gwarem, za zbiorowiskiem. Wśród pracy mijały dni. We wtorek wyczerpały się zapasy. Trzeba było zajrzeć do wsi. O zmierzchu wybrał się Benek z Ignasiem. Nim wyłonił się z lasu otulił ich gęsty mrok. W szarej mgle jesienno-wieczoru dostrzegli nagle małą chatynkę. Wsunęli się do niej ukradkiem.

Usiedli za stołem, w izbie panował mrok. Kaganek kopcił pod ścianą. Gdzieś tam ćwierkał świerszcz. Nie mówili słowa.

Wtem rozległo się ostre pukanie. W drzwiach stanął żandarm, za nim policjant. W sionce zamajaczyła trzecia postać. Któż to znów? Leśniczy, z ramienia zwisa mu karabin.

Jest ich trzech przeciw dwóm... Widocznie mrok nie osłonił chłopców dostatecznie. Dostrzeżono ich w drodze. Do nos poszedł szybko.

Ustawili się rzędem, wszyscy trzej chwycili karabiny w dłoń. Stali w pogotowiu.

Chłopcy ani drgnęli. Siedzieli z rękami w kieszeni. Obojętnie patrzyli na przybyłych. Może nawet udawali zdziwienie. Niby, że nie widzą związku przyczynowego między ich tu obecnością, a przybyciem tamtych uzbrojonych.

Obliczali szanse. Przewaga tamtych była bezsporna. Rzuć się na nich byłoby szaleństwem. O otwartej walce nie ma mowy. Trzeba raczej upatrzeć odpowiedni moment. I czekać.

Czekali spokojnie. Cisza aż dźwięczała. Mierzyli się wzrokiem. Światło migotało spod ściany.

— Wstać! — ryknął żandarm.

Podnieśli się ociężale.

— Dokumenty!

Powolnym ruchem sięgnęli do kieszeni. Niedbale wyłożyli papiery na stół. Nie spieszyło im się. Grube łapska porwały je gwałtownie.

— Macie broń?

— Nie mamy!

— Zobaczymy zaraz!

— Zobaczymy — odburknął Benek.

Dwoje (*zatarcie*) oczu przeszło go dzikim wzrokiem. Zdjąć ubranie! — wrzasnął.

Benek pochylił się. Nad głową sterczały mu trzy spluwy. Zdawał się nie widzieć ich. Poruszał się powoli. Najpierw ściągnie cholewy. Którą wcześniej? Może prawą.. Trochę opornie mu idzie. Coś się tam zacięło. Szarpnął mocniej. Jest! Wyciągnął spluwę.

Podniósł się gwałtownie. Huknął strzał. Trafił celnie. Wielkie cielsko żandarma powaliło się na ziemię. Krew trysnęła wokoło. Dwaj pozostali zastygli bez ruchu. Zdumienie ubezwładniło ich. Zdrętwiałe ręce wpierały się w karabin. Skamienieli.

Padł drugi strzał. Tym razem mniej trafny. W prawe ramię policjanta. Załoczył się i zawadził o ścianę; omdlał. W tej chwili ocknął się trzeci. Chwycił krzepko broń. Skierował lufę w Benka. •

Była decydująca chwila.

Ignas stał z boku. Nie miał broni: na całą czwórkę były tylko dwie spluwy. Jedna została w lesie, drugą zabrali do wsi.

Stał bezsilny. Zaciśnął pięści. Zagryzł wargi. Tylko patrzył. Widział wszystko, a nie mógł zrobić nic. To była chyba najcięższa chwila w życiu.

Jeszcze sekunda, a z tej lufy padnie strzał. Prosto w skroń Benka. Gdyby Ignas miał teraz broń... — powaliliby trzeciego w mig i byłiby ocaleni. Wycelowaliby bez trudu. Ale zaciśnięte dłonie były puste. Więc tylko wzrokiem wbił się w leśniczego. Targana bólem cała dusza zbiegła mu do ciemnych źrenic.

Oddychał ciężko. Życie Benka wisiało na włosku. Teraz, za chwilę, miało stać się to najokropniejsze. Zdawało się, że wieki mijają.

A to była mała chwilka, mgnienie oka zaledwie. Huknął strzał. Benek zachwiał się i padł. Stukot opadającego ciała

otrzeźwił Ignasia. Była kolej na niego. Wyprostował się dumnie: Był gotów.

Cały wieczór czekali w lesie na ich powrót. Raz po raz wychodzili z meliny. Nadśłuchiwali. Północ minęła dawno. Noc była ciemna. Może zblądzili? Zyga wyszedł na poszukiwanie. Wrócił znękany.

Nie ma rady. Trzeba czekać do rana. Zapomnieli o głodzie i zmęczeniu. Nie kładli się do snu. Niepokój wżerał się w nich coraz silniej. Ognisko zagasło, ziąb przeszywał ich na wskrós.

Świt zastał ich wyczerpanych do cna.

Nie ulegało żadnej wątpliwości. Coś się tam stało we wsi. Przymusili się jednak do spokoju. Postanowili czekać do południa. Godziny wlokły się w nieskończoność. Słońce wzeszło wysoko.

Cichaczem podeszli na skraj lasu. Posuwali się bezszelstnie. Nikogo nie było widać. Zdawało się, że wieś wymarła. Wtem ujrzeni z daleka chłopą. Poznali go. Wyłonili się ostrożnie z gęstwiny.

W tej chwili spostrzegł ich tamten. Zmrużył oczy tajemniczo, zasłonił palcem usta. Był to znak ostrzegawczy.

— Nie chodźcie panowie do wsi.

— A dlaczego?

— Węszą tam dzisiaj jak psy...

— Niby, że coś nowego zaszło?

— A no. Wczoraj w mojej chałupie — zniżył głos — zastrzelili dwóch młodych zuchów.

Spojrżeli po sobie.

— Znaliście ich?

— Zachodzili do mnie czasem.

— Jak się nazywali?

— Ach, ja tam nie wiem — machnął ręką.

— A jak wyglądali?

Opowiedział dokładnie. Nie było się co zastanawiać. Benek i Ignas nie żyli już.

— Umierali mężnie — kończył chłop — prawdziwe zuchy.

— Pewnie nasi — łorzucił szeptem...

I zamyślił się.

— A wy nie chodźcie do wsi — ostrzegł raz jeszcze — szkoda was, panowie. — Wykręcił się na pięcie i odszedł pospiesznie.

Wrócili do lasu. Nie mieli tu co robić. We dwójkę nie dokonają niczego. Trzeba zresztą zawiadomić kierownictwo. Trzeba do kogoś uciec ze swym bólem.

Przeczekali kilka godzin w lesie. Wieczorem zakradli się na stację. W piątek rano stanęli w Krakowie.

Nie załamali się. Nie podnieśli krzyku rozpacz. Nawet łązy nie uronili. Tak musiało być. Zginęli śmiercią mężną. Zachowali zimną krew do ostatka. Postąpili jak prawdziwi żołnierze. Dwa strzały, które padły z rąk Benka, były rozważnie obliczone. Nikt nie postąpiłby rozsądniej. Był tylko jeden błąd, że Ignas nie miał broni. Ten zdecydowany, zacięty chłopak byłby dokończył dzieła. Wszak brakło tylko jednego strzału. On nie spudłowałby. Było ciemno, mogliby później z trzema zdobytymi karabinami zniknąć w jednej chwili. Zanim by się w okolicy spostrzeżono, jużby ich dawno nie było.

Chodziło o jeden strzał. Wniosek był jasny: każdy, kto wyrusza w pole, musi mieć własną broń. Zapłacili dwiema ofiarami za tę bezcenną naukę.

Tak postawili swój pierwszy krok na swej własnej drodze. I nie cofną się z niej nigdy. Dwie ofiary były niby kamień węgielny, podłożony pod wielki gmach. Kto rozpocznie budowę, musi ją dokończyć. Kto złożył ofiarę z dwóch dzielnych towarzyszy, musi w imię bohaterskiej krwi iść dalej szlakiem walki.

To prawda, że wewnątrz tam szarpał ból. Trzeba go jednak stłumić. Trzeba okrzepnąć. Zahartować się. Oswoić się ze śmiercią. Przywyknąć do niej. Będzie nas teraz coraz częściej odwiedzała.

Taka była ich odpowiedź.

W małym gabinecie Ewy, na miękkim tapczanie siedzieli znów przy zamkniętych drzwiach. Nie spuścili głów, nie załamali rąk. Ostatnie słowa Dolka dźwięczały jeszcze w powie-

ru. Cicha pogoda zdawała się opływać ich młode czoła. Milczeniem powitali Justynę. Spojrzeli na nią tylko i powrócili do swoich myśli. Usiadła bezszelestnie na rogu tapczanu.

Nie śmiała oddychać. Coś niby majestat bił od tej czwórki, skupionej w ciasnym pokoiku. Z boku na nocnej szafce paliła się mała lampka. Rzuciła słaby blask na ich twarze. Światła i cienie grały na białej ścianie... Włosy, profile rysowały się ostrymi konturami. Nie poruszali się. Trwali w spokoju, w kamiennym spokoju. Wyglądali tak, jakby się więcej nic zdarzyć nie mogło. Bo cokolwiek by się zdarzyło, zniosą bez drgnienia. Na wszystko znajdą odpowiedź. Justa piła chciwie tę pogodę. Nie słyszała słów, które Dolek mówił przedtem półgłosem, ale kiedy wpatrywała się w te twarde cienie na ścianie, wiedziała już wszystko. Powoli i w nią wstąpiła cicha, głęboka pogoda.

Marek podniósł wzrok. Ocknął się. Zdawało się, że dopiero teraz spostrzegł żonę.

— Justa — powiedział szeptem — idź na górę do Heli. Ona tam czeka u Geny²⁾ na wynik posiedzenia. Powiedz jej, że jeszcze dziś w nocy jedzie. Niech się przygotuje do podróży. Wraca do Rzeszowa. Tam ma czekać na Edwina, Emila³⁾ i Harrego lub na wiadomość od niego. Niech się trzyma dzielnie.

— Dobrze — powiedziała — i zerwała się do wyjścia.

— Jeszcze chwilę — wstrzymał ją — przed wyjściem z dzielnicy niech wstąpi tu. Dam jej pieniądze i ewentualnie wyjaśnienie. Mietek też jedzie dzisiaj, lecz do Lwowa, a nie do Rzeszowa. Jeżeli chce, mogą jechać razem.

Gena mieszkała w tej samej kamienicy. Justa wbiegła na trzecie piętro. Zastała je obie. Siedziały za stołem zatopione w serdecznej rozmowie. Hela — jasna, rumiana, pulchna, Gena — biała, o pięknych gładkich włosach. Cudnymi oczyma wpatrywała się w Helę. Słuchała nimi nieledwie. Nie wiedziała o tym, co się stało. Nikt nie powinien był na razie wiedzieć. Justa pochyliła się nad Helą i ucałowała ją gorąco. Poczuła na szyi jej uścisk. Hela przytuliła się do Justyny.

— Więc cierpi jednak — pomyślała Justyna. Niktby po

niej tego nie poznał, gdy żywo opowiadała Genie o swoich historiach. Umie się trzymać dziewczyna. Justa poczuła szacunek dla Heli i spojrzała jej w oczy. Napotkała jej smutny wzrok, więc uśmiechnęła się do niej poważnie i przysunęła sobie krzesło. A Gena wyszła z pokoju.

Rozmawiały spokojnie i w tej przyciszonej pogawędce odnalazły swoją drogę. Były znów silne.

Nazajutrz było wszystko już na swoim miejscu. Hela w Rzeszowie na punkcie, Mietek we Lwowie. Od chwili powrotu Marka ze Lwowa, kilkakrotnie wysyłano już tam (*zatarte*). Otwierały się tam możliwości przejścia przez granicę węgierską. Był to odrębny problem, niezależny zupełnie od pracy partyzanckiej. Wciąż jeszcze w głębi nurtowało w nich zagadnienie przetrwania. Sami (*zatarte*) tu zginąć w boju, nie mogli jednak znieść myśli, że pójdą na prawdę wszyscy.

Było to nie do pomyślenia, że wreszcie, kiedy nastąpi zawieszenie broni, kiedy zakończy się wojna, nie będzie już nikogo z nich. Nikogo, kto by był świadkiem tego, co się stało.

Gdyby zachować choć jedną małą grupę ludzi, którzy by później stali się żywym pomnikiem ruchu. W Palestynie ruch jest właściwą siłą, ale tam, na wschód, nie dotrze chyba nigdy wieść o tym, jak ginęli tu.

Chcieli, by Marek i Romek wysłali grupę ludzi przez zieloną granicę. Byli przecież tacy, którzy dla swego rasowego typu nie mogli być wykorzystywani w obecnej pracy.

A z racji swej wartości duchowej mogli spełnić swe zadanie tym właśnie, że przetrwają wojnę. Sami nie opuściliby teraz towarzyszy za nic w świecie i tylko w walce widzieli swe życie (*zatarte*) byli za tym jednak, by przygotować choćby małą grupę do wyjazdu.

Dolek się sprzeciwiał. Stawiał sprawę na ostrzu noża: walka — albo ratowanie ludzi. Jeśli walka, to idziemy do niej wszyscy. Każda inna droga jest dezercją.

(Luźna notatka na tej kartce)

(*zatarte*) Żydzi (*zatarte*) męczeńską śmiercią i jak młodzi, porwali za broń, bo żądni byli odwetu.

Niezależnie od tego, że nie ustalono jeszcze wspólnego poglądu, należało zorientować się w możliwościach tak, by na wypadek pozytywnej odpowiedzi, móc od razu przystąpić do przeprawy.

Równocześnie w samym środku ruchu odezwał się głos, który poruszył podobne zagadnienia.

Józek wtedy był w Kielcach²⁹). Tam dokoła jego osoby i częściowo też Antka skupiała się grupa młodzieży. Kontakt między Kielcami a Krakowem był bardzo ożywiony. Na linii tej kursowała przeważnie Justyna. Ostatnio Józek zawiadomił, że pozyskał dla sprawy swego przyjaciela Władysława³⁰).

Łączyła ich obydwóch wspólna platforma artystyczna. Józek celował w krytyce literackiej. Władysław raczej skłaniał się do dramatu. Mieli swe zamknięte środowisko młodych artystów, którzy rzadko wychodzili poza granice swej twórczości. Nie angażowali się w żadnej sprawie społecznej, byli wszyscy z typu pięknoduchów, których myśl zdobywała świat cały, a którzy w życiu praktycznym byli niezaradni jak małe dzieci.

Dopiero gdy (*zatarte*) w Kopalinach wciągnęła Józka w ruch, obudziło się w nim tyle młodzieńczej (*zatarte*) w krótkim czasie począł wykazywać szczere przywiązanie do ruchu, w tej zaś chwili pelen był już oddania. Justyna pojechała, by z Józkiem i Władysławem pomówić o ich nowych projektach.

— Siedzimy tu z dala od was, a nie będąc w samym środku roboty, widzimy pewne rzeczy w innym świetle. Wasza uwaga jest skoncentrowana dokoła roboty partyzanckiej, a tu cały szereg piekących spraw nie daje nam spokoju. Pomyśl, że z wszystkich naszych przyjaciół, nie tylko młodych literatów, ale z całego koła artystów żydowskich, talentów dopiero rozkwitających, czy w pełni rozwoju, pozostali nieliczni zupełnie. A i ci powoli wykańczają się, giną głodową śmiercią, jeśli „wysiedlenie” nie zwało ich do reszty. Nie wiadomo, kto z nas przetrwa, ale...

— Myślę, że nikt — wtrąciła Justa.

— W każdym razie, jeśli ktokolwiek ma przetrwać, to ra-

czej oni, ci wybrani, ci przez których przemawia duch całego narodu. Czy rozumiesz, że dziś już wyjałowieni jesteśmy do ostatka? Że te resztki, które trzymają się, na razie są bezbarwne, pozbawione najlepszych jednostek? Ale jeszcze tu i ówdzie wyłowić można wielkie wartości i zadaniem bojowej młodzieży — uważam — jest osłaniać je przed zagładą. Jest to zadanie również wzniosłe, jak robota powstańcza. Czy nie sądzisz?

— Mów dalej, mów dalej; mów raczej o tym, jak sobie to wyobrażasz. Ja bowiem nie wierzę już w to, że można kogoś zachować przy życiu.

— A ja wierzę. Ale o praktycznej stronie mówić będę potem. Na razie jeszcze o założeniach. Niezależnie od tego, co mówiłem o ludziach wybranych, obdarzonych niejako iskrą bożą (*zatarze*) zabezpieczyć nasze rodziny. Powiadacie: rzucimy wszystko na jedną szalę. Ależ czy nie dość rzucić na nią swe własne życie? A my przecież składamy całopalenie z naszych rodziców, żon i dzieci. Jakżeż możemy skupić całą uwagę około pracy, jeżeli w każdej chwili czyha zagłada na naszych najbliższych i musimy do nich wciąż powracać myślą. Historia nie zna takich rewolucjonistów, którzy by rzucili na stos wszystko, wszystko, co im drogie. Powstańcy zawsze poświęcali siebie, ale spokojni byli o dom swój i rodzinę. Więc i my winniśmy zabezpieczyć nasze rodziny w najogólniejszych choćby granicach.

— Byłabym wam całą duszą wdzięczna, gdybyście to wzięli na siebie. I zdaje się, że nikt w kierownictwie nie podniósłby słowa sprzeciwu. Wszyscy raczej przyjęliby to z ulgą; przecież to nam wszystkim tak bardzo leży na sercu.

— Przedstawcie tylko praktyczny plan, zajmijcie się jego realizacją sami, a wtedy...

— Potrzeba nam ludzi do pomocy.

— Dostaniecie ich.

— Zaradnych, dzielnych.

— Nie brak nam takich.

— Poza tym finanse.

Rozwinęły przed nią szczegółowy plan. Słuchała zmęczona,

Północ się zbliżała. Usiłowała iść za ich myślą. Ale nie tylko zmęczenie jej przeszkadzało. Coś się tam wewnątrz niej opierało przed tym nowym projektem. Coś w jej duszy mówiło, że to tylko fantazja.

— Powtórzysz to wszystko kierownictwu?

— Niechętnie, przyznam wam szczerze. Albowiem nie mam przekonania, a raczej nie wierzę, że się cokolwiek uda zrobić. I sądzę, że moje przedstawienie sprawy mogłoby wam tylko zaszkodzić. Byłoby bowiem tylko lichym sprawozdaniem. A dla każdej nowej myśli trzeba rozbudzić zainteresowanie...

— Trzeba rozbudzić zapał.

— Wy to zrobicie lepiej ode mnie.

— Słusznie.

— Niech więc Władysław zajedzie do Krakowa w tych dniach, a ja go skomunikuję z Dolkiem czy Markiem.

— Chodzi jednak o pośpiech, bo każdy dzień zwłoki może nas drogo kosztować.

— Rozumiem. Niech więc będzie pojutrze.

Na tym stanęło. Justyna wróciła do Krakowa. Smutek jej nie opuszczał. Nie mogła ani na chwilę zapomnieć o Benku ani o Ignasiu. Od trójki chłopców, co wyruszyli po złote runo, na razie też ani znaku życia. Powinni byli choć jednym słowem zawiadomić, gdzie są, a tu nic. Ani do Heli, ani do Krakowa nie dotarła dotychczas żadna wiadomość, choć minęły już dwa tygodnie. Coś się tam musiało stać. Można sobie wyobrazić tysiące sytuacji, w których znajdują się chłopcy nagle bez wyjścia. Nikt jednak nie chce dopuścić do siebie tej najstraszniejszej myśli, która przemocą wciska się do umysłu. Więc czeka się na wiadomość, na krótki, wesoły znak.

A Justa wciąż myśli o tej lawinie, co się ze szczytu stacza i przed którą nie można uciec... Nie można.

Na przykład Anka¹⁾, ta dzielna, urodna dziewczyna, zajęła do Rozwadowa, objęła mieszkanie, zarabiała sobie doskonale.

Wtem — szantaż. Nie chodziło o pieniądze, ale o jej dziewczęcą młodość. Stawiła dumny opór. Wtedy w odpowiedzi padło słowo: Zydówka!

Znalazła się w więzieniu. Nie przyznawała się jednak do niczego. Wypierała się mężnie. Chciała jeszcze wyrwać się do pracy.

Próbowano interweniować. Zajechał tam Julek²²⁾. Jego rzekome obywatelstwo litewskie miało mu rzekomo drogę torować. Nie udało się jednak nic. Jej pewna siebie postawa podważała ich podejrzenie, ale nie chcieli jej zwolnić mimo to. Trudno było się łudzić. Była stracona. Ociągali się wprawdzie z wykonaniem wyroku, ale wypadek był beznadziejny.

A to był dopiero początek.

Gdy tak Justa myślała o tym wszystkim, było jej ciężko. Mówili jej wszyscy o wiosnie, o pięknej, wolnej, zwycięskiej, a tymczasem ledwie się jesień rozpoczęła, już przerzedzają się szaregi.

Zmrok zapadał, gdy Justa zajechała do Krakowa. Gęsta mgła osnuła miasto. Szła powoli. Musiała trzymać się do ostatka. Jedno spojrzenie mogło ją zdradzić. Ciężko było wśród tych smutnych myśli udawać beztroskę. Więc ten przymus, ten sztuczny uśmiech, który nosić trzeba było na twarzy, męczyły i wyczerpywały ją do reszty.

Odetchnęła, kiedy weszła wreszcie do Alka. Była wśród swoich, tym bardziej, że zastała tu Dolka.

— Pójdziemy razem? — zapytał.

— Z radością — odpowiedziała.

Ujęli się pod ramię i poszli do dzielnicy.

— Tak dobrze wracać do was! — wyrwało się Justynie i przycisnęła mocno jego ramię.

Było w tym krótkim zdaniu tyle ciepła, tyle miłości bezgranicznej, że Dolek bezwiednie odpowiedział jej równie szczerym uściskiem.

On ją zawsze najlepiej rozumiał ze wszystkich. Do niego tęskniła tak, jak do zacisznej przystani. Miał w sobie coś, co kazało natychmiast otworzyć przed nim serce, powiedzieć wszystko, co kładło się na nim ciężarem. A on tak słuchał, słuchał, nigdy nie przerywał i samym już słuchaniem zdejmował ciężar z serca. Potem mówił wiele słów prostych i kocha-

nych i było tak, jakby się wróciło ze spowiedzi, jakby się oczyściło duszę całą. Czuł się potem człowiek jakiś lepszy, silniejszy, trudności zdawały się pokonane, cierpienia znikome, a życie jaśniejsze.

— Wiesz Dol, że wszystkim się jakoś potrafię uporać, tylko nie znoszę tych pobyków z dala od naszego środowiska. Jest mi tak źle, tak się duszę, kiedy wychodzę z dzielnicy i nagle otacza mnie świat nie mój. Przecież się w nim swobodnie poruszam, umiem się do niego przystosować, obeznana jestem z jego kulturą, mam odpowiednie warunki zewnętrzne i wszyscy traktują mnie niemal życzliwie, a ja duszę się, jest mi tak źle!

— Rozumiem to dobrze. — Dolek dotychczas jeszcze pracował w dzielnicy, lecz środowisko rodzime żydowskie było mu drogie nad życie i sam nie umiał sobie wyobrazić przyszłości bez niego.

— Kiedy pomyślę — mówiła dalej — że tu znikną z powierzchni ziemi wszystkie skupiska naszego ludu, że śladu nie pozostanie po tym, co nam najdroższe, to Bóg mi świadkiem, że pragnę tylko śmierci. Nie chcę być pogrobowcem, nie chcę żyć na gruzach naszego życia ludowego, nie chcę...

— Dziewczyno — odezwał się Dolek znienacka — tyle już we mnie wezbrało się buntu, że czasem... — zawahał się chwilę — czasem chciałbym być już zupełnie sam. Och, wtedy bym się już nie musiał liczyć, nikogo oszczędzać. Rzuciłbym się cały w bój i takie bym szerzył spustoszenie dokoła siebie, aż zginąłbym wreszcie spokojny.

Wysunął rękę spod jej ramienia. Przyspieszył kroku. Odychał ciężko, energicznie wyrzucał przed siebie ramiona, jakby sobie torował drogę.

Mgła była coraz gęstsza. Światła nikły w niej zupełnie. Mijali most na Wiśle.

Justa spojrzała na Dolka z bólem. Był blady. Oczy iskrzyły mu się w ciemności, szczęki latały dziwnie. Znała dobrze ten wyraz jego twarzy. Taki był zawsze, gdy wewnątrz przewalała się w nim burza. To już nie był ten Dolek serdeczny i tkliwy, do którego wybiegali wszyscy, by ukoić swój ból. To był męż-

czyzna-bojownik, który w walce o największą sprawę, na jedną kartę postawił wszystko, co ukochał, od matki począwszy, poprzez żonę, siostry, przyjaciół i poprzez własne swe, tak wiele jeszcze obiecujące, życie!

Justyna miała już urządzone mieszkanie²³). W malowniczej willi zajmowała duży, przestronny pokój dwuokienny. Obok mieściła się kuchnia z werandą. Wszystko było urządzone skromnie, ale ze smakiem.

Całość mieszkania tchnęła zaciszem domowego ogniska. Kwiaty na stole, firaneczki w oknach, tu i ówdzie obrazek, nadawały domowi swojskiego charakteru. Justyna grała rolę słabej, wątpliej żony, która spędza złotą jesień w podhalańskiej wsi.

Mały Wituś bawił się beztrosko w ogródku, po południu zaś wychodził z ciocią na przechadzkę. Czasami płynęli oboje łodzią po cichych wodach Raby. Wieczorem przyjeżdżał Marek. Wracał rzekomo z biura, po całodziennym dniu pracy. Jeździł tak dzień w dzień autobusem do Krakowa, aż go wkrótce wszyscy znali. Z czasem jako pracownik poważnej firmy stał się tak popularny wśród pasażerów, że ustępowali mu miejsca nawet wtedy, kiedy autobus był przepełniony. Byli tacy, którzy usuwali się przed nim z lękiem. Jego marsowe oblicze, ostry wzrok, stanowcza postawa, kazały domyślać się w nim człowieka, który z racji tajnej współpracy z rządem jest w swej pozycji niezachwiany. I raczej może grozić (*zatarte*) niż pozwolić się przez kogoś zaatakować. Był więc przedmiotem zainteresowania ludzi rozmaitego typu, ale przy tym bardzo tajemniczy. Więc usuwano się przed nim dla własnego raczej bezpieczeństwa. Nikt oczywiście nie byłby przypuszczał, że jest Żydem i że każda jego podróż ma na celu pracę wywrotową. Podobnie jak nikt by nie podejrzewał, że w przytulnie urządzonego mieszkania wśród lasów mieści się cały aparat technicznego biura.

W kącie pokoju, opodal okna stało wprawdzie biurko

z rozmaitymi przyborami biurowymi. Nie brakło tu niczego, nawet maszyny do pisania. Urządzone wszystko było tak, że nie powstydziliby się tego żadne poważne biuro. Nic jednak nie mogło budzić tu podejrzenia. Gospodarze i sąsiedzi wiedzieli już dobrze, pan chcąc uprzyjemnić pobyt żonie na wsi, przywozi sobie od czasu do czasu robotę z biura, przez co zyskuje w tygodniu dzień lub dwa urlopu. I nikt się już nie dziwił, że tak niestrudzenie jeździ tam i z powrotem; wiodocześnie państwo mogli sobie pozwolić na kosztowne życie.

A tymczasem u rzekomych państwa, od których zewnętrzny dobrobyt odwracał wszelkie podejrzenia, toczyło się podziemne życie.

Stało ono pod znakiem podwójnej konspiracji. W pierwszej Witek odgrywał podwójną rolę. Wychowany w narodowym duchu żydowskim, umiał cudownie nie wyrzec się tego, a ukryć to bacznie przed oczyma świata. Miał zaledwie sześć lat, a już rozumiał, że jest Żydem i chce nim pozostać. A tylko teraz przejściowo musi się z tym ukrywać. Z niezrozumiałą wprost bystrością opanował cały materiał konspiracyjny.

I nie tylko sam umiał utrzymać języczek za ząbkami, ale i wszystkich trzymał w karbach. Nie pozwolił użyć ani jednego słowa, w którymby się kryło drugie znaczenie. Był rozsądniejszy od wszystkich, a przy tym nie tracił swej godnej postawy żydowskiego dziecka. Tęsknił więc za swą tradycją i choć nie brakło mu rozrywek, jakiś smutek padł na tę dziecięcą wrażliwą duszyczkę. Ileż to wujaszek wyjeżdżał do Krakowa, prosił go:

— Ale babuni nie mów jak my tu żyjemy, bo ja się babci bardzo wstydzę.

W drugiej konspiracji odgrywał swoją rolę, choć się maleństwo niczego nie domyślało. Swą dziecinną swobodą rzucał na dom tyle światła i radości, że nikt nie domyślałby się, co się pod pozorami kryje.

Dni miały zazwyczaj w atmosferze domowej istotnie. Dopiero wieczorem rozpoczynało się prawdziwe życie. Wituś już spał zazwyczaj, a jeśli bardzo pragnął czekać na powrót

wujaszka, zjadano pospiesznie kolację i układano go do snu. Teraz dopiero Marek opowiadał wszystko, co się dzieje w ruchu. Justyna chłonęła w siebie jego opowiadania i żal jej było, że jest tu zagrzebana w tym zaciszu wiejskim, podczas gdy tam tyle się wielkich spraw rozgrywa. Ale tu była potrzebna, tu każdego dnia, w każdej chwili spełniała swe zadanie.

Po kolacji, gdy uciszało się dokoła, gdy światła pogasły już we wsi, siedzieli we dwoje przy pracy. Okna były ściśle zaciemnione, drzwi na klucz pozamykane. Na biurku ukazywały się wszystkie materiały i praca szła w szybkim tempie. Nieraz pracowali tak do drugiej, trzeciej po północy. Przed zosną trzeba było znów wstać, by Marek zdążył do autobusu na siódmą. Praca więc wyczerpywała ich oboje, szczególnie Marka. Po nieprzespanych nocach musiał jeździć, być nadal mocnym, pewnym siebie i nie okazywać zmęczenia.

O dwadzieścia minut drogi mieszkała Hanusia⁴⁴). Powinna była trzymać się od nich z daleka, oba punkty bawienia we wsi stanowić miały niezależną od siebie całość. Jakżeż jednak mogła Hanusia usiedzieć w swej willi samotnie, kiedy tam o kilkaset kroków była Justyna z Witkiem? Niewiedomo, jak określić ich stosunek wzajemny, czy przyjaźnią, czy miłością siostrzaną. Przez długie miesiące tęskniła Hanka do Justyny, a kiedy groza nędzy i beznadziei warszawskiej coraz straszniej kładła się na jej duszy, wysyłała swe myśli ku Juście, jak ku jakiejś jasnej krainie spokoju. I teraz wreszcie po półtorarocznej rozłące były znów razem. Więc też wykorzystać chciały każdą chwilę i Hanusia przybiegała do nich co dzień wczesnym rankiem i pozostawała do późnego wieczora. Wobec otoczenia znaczyło to, że pomaga pani w prowadzeniu gospodarstwa, w wychowaniu Witusia.

Dla nich samych zaś były to chwile zlewania się w jedną całość, spotykaniem utęsknionych, przyjaźnią dusz.

Hanusia była przy tym łącznikiem Marka. Materiał wykonywany po nocy, musiał się zawsze następnego dnia dostać do Krakowa. A Marek nie powinien być zbyt obciążony.

Ładowała więc Hanusia jabłka, jaja, grzyby do koszyka, wdziewała chusteczkę i wsiadała do auta, niby jadąc na targ.

W ten sposób przewoziła materiał, jadąc nieraz przy boku Marka, a nie znając go pozornie. W południe wracała na wieś, a Wituś już z daleka spoztrzeżał ją poprzez las i biegł jej naprzeciw. Hanusia była w jego pojęciu takim członkiem rodziny, jak wujek albo Justyna.

Był wieczór niedzielny. Wituś i Justa nakrywali stół do uroczystej kolacji. Niecierpliwie czekali, aż Marek i Hanusia powrócą. Ósma już dawno minęła. Wreszcie skrzypnęło coś na werandzie i w drzwiach ukazała się Hanka.

— Nareszcie! — zawołali oboje.

— Wracam sama.

— Czemu? — strach ścisnął Justę za gardło.

— Nie lękaj się. Marek musiał pozostać.

Justa odetchnęła.

— A dla mnie żadnej roboty nie przysłał?

— Nie; natomiast chce, byś jutro przyjechała do Krakowa.

Justa znów zbladła. Jej matka była wciąż jeszcze w dzielnicy. Długo trwało, nim Justa zdecydowała się wyjechać z Krakowa. Już tylokrotnie ślubowała sobie nie opuszczać matki. A tu sprawa domagała się swojego. Rozterka wewnętrzna toczyła ją bezustannie, a strach o ukochaną staruszkę, o największą świętość jej życia, nie dawał jej spokoju. Teraz zbladła, bo domyślała się już wszystkiego.

— Uspokój się — mówiła Hanka — zanosی się na „akcję” w Krakowie. Ale nie wcześniej, niż we środę, lub czwartek. Zdązysz na pewno zabrać mamusię, na pewno.

Justyna nie odpowiedziała.

— — —

Zdążyła na czas. Przy pomocy Elży²¹⁾ wywiozła matkę do Bochni. Została tu do wieczora. Następnym pociągami miała przyjechać Mira z rodzicami. Ostatnia Ewa ze swoimi.

Justa czekała na nich niecierpliwie. Kiedy wychodziła

z matką z dzielnicy, było już trudno się wydostać. Lada chwila miało nastąpić zupełne zamknięcie ghetta. Była już ostatnia możliwość ratunku. Ani Mira, ani Ewa nie nadjechała. Justa nie wiedziała jak to sobie tłumaczyć. Była jedna tylko możliwość: że „akcja” rozpoczęła się tego samego dnia.

Myślała o tym z przerażeniem. Przygotowani byli na środę. Do wtorku wieczorem mieli wszyscy pozostać w dzielnicy. Wszyscy bez wyjątku. Więc Dolek, Marek, Romek, Maniek i cała gromada młodych. Gdyby ich akcja zaskoczyła nagle, cała siła i przyszłość ruchu naraz zostanie zmieciona.

Z bijącym sercem wróciła rano do Krakowa. Niepokojnie rozglądała się po ulicach. Ruch uliczny byłby niecodzienny, jakąś zmianę czuć było by w powietrzu. Dzień był piękny, słońce — mimo jesieni — dogrzewało silnie. Wszystko szło swoim normalnym trybem, żadnego oddźwięku tego, co działo się w dzielnicy, — zdawało się, że porządek rzeczy jest niezmieniony. Na rogu natknęła się na Mirę. Była w jasnej jesionce i brązowym kapeluszu; stała na ulicy rozglądając się bezradnie w koło.

— Co jest Miruśka? — zrozumiała, że nie czas na uściśki powitalne.

— Nic — odpowiedziała krótko swym dźwięcznym altem — „akcja” w pełnym toku.

-- Więc jednak — pomyślała Justa, a coś chwyciło ją za gardło. I zapytała głośno:

— A ty co robisz, Mira?

— Nie wiem sama. Wczoraj wieczór w ostatniej chwili wyprowadziłam rodziców z dzielnicy. Przenocowaliśmy w jakiejś fabryce. Teraz już muszę zabrać ich słamtąd, a nie wiem dokąd... Mam tu adres. Może mi się uda wynająć jakiś pokój i przeprowadzić ich. Najgorsze to to, że nie wiem gdzie Dolek.

— Jakto nie wiesz?

— Nie, nie wiem!

— W dzielnicy?

— Ponoć wyszli z Ewą. Ale nie wiem dokąd.

Stały przez chwilę w milczeniu.

— A gdzie są inni?

— Niektórzy u Alka.

— Kto?

Justa próbowała sobie uzmysłować, że tam się jednak „akcja” toczy, że zmiecie znów tysiące ludzi. Ale nikt z ruchu nie śmie ginąć teraz. Więc z drżeniem czekała na odpowiedź.

— Patrz! — zawołała Mira nagle, a jej wyraz twarzy zmienił się. — Patrz idą!

Justa poszła za jej spojrzeniem. Jeźdźnią szedł długi szereg robotnic żydowskich. Twarze ich były blade, oczy zasępione, krok ciężki, choć szybki. Głuche milczenie panowało w szeregach. Głuche i złowrogie.

— Dokąd one idą?

Mira była blada jak płótno. Wejźdźmy do bramy, — uważyla Justa przezornie — ktoś może nas rozpoznać.

— Widzisz Tożkę^{*)}?

W drugim rzędzie szła wyprostowana, bez okrycia głowy, a ciemne włosy spływały jej na ramiona.

Gdyby z nią móc choćby jedno słowo zamienić, dowiedzieć się kto, gdzie, jak?

— Przeczekajmy w bramie — nalegała Justa — nie trzeba się teraz narażać.

(Luka w rękopisie)

— Nic nie wiem.

— Ale jak tam jest? Jakiście się wydostali do pracy?

— Zbrali nas przed Urzędem Pracy. Wszystkich robotników w ghetcie. Rozdzielono według obiektów, w których się jest zatrudnionym. Potem szła komisja szeregami i wybierała ludzi do pracy.

— Według czego?

— Według widzimisię.

— A reszta?

— Reszta idzie na Plac Zgody do transportu.

— W jakim procencie?

— Jeden ocaleje na dziesięciu.

- W jakiej atmosferze się to odbywa?
- W zupełnej ciszy.
- Żadnych wypadków, żadnych (zatarte)
- Musisz już iść?
- Muszę.

— Słuchaj. U Alka są dokumenty dla was wszystkich. Jak tylko się uda, przy pierwszej sposobności, wyrwij z dzielnicy. Dostaniecie szczegółowe dyspozycje. Alek powie wam wszystko.

— Dobrze. Bywajcie!

— Bywaj! Trzymaj się! A wyrwij się z ghetta póki czas. — Raz jeszcze obejrzała się za siebie, spojrzała na ich poważne twarze i zamknęła drzwi.

— Przyjdź Miruś do Alka, gdy załatwisz pokój dla starszaków. Będę tam czekała na Marka.

Do Alka było niedaleko. Mieszkał w małym pokoiku, do którego wchodziło się przez podwórze. Był tu tylko sublokator. Zajmował niszę, w której mieściło się zaledwie łózkę i szafka nocna. Światło dzienne nie dochodziło tu nigdy. Dniem i nocą świeciła się mała żarówka. Ciemna kotara oddzielała tę niszę od reszty pokoju. Za tą kotarą toczyło się intensywnie życie ruchu. Tu odbywały się poważne spotkania, tu odbierano najważniejsze rozkazy. Tu każdy nowoprzybyły stykał się z ruchem. Ciasno tu było zawsze. Musiało się tu obowiązkowo usiąść na łóżku, bo inaczej nie byłoby miejsca. Ludzie musieli się luzować. Jeden wchodził, a drugi wychodził. Mówiono przy tym tylko szeptem. Kiedy drzwi się otwierały, rozmowę się urywało, bo nie wiadomo, kto tu znowu przybywa. Gdy Justyna weszła, uderzyła ją cisza jaka panowała za kotarą. Pomyślała z lękiem o tym, że tam nikogo nie ma. Odchyliła kotarę z niepokojem.

Na łóżku siedzieli rzędem Alek, Zyga, Czesiek i Adaś. Przygnębienie ciążyło nad nimi, jak głaz. Nie zamienili ze sobą ni słowa. W chwilę później nadszedł Marek. Miał już to do siebie, że choć panował nad każdym wzruszeniem, to jednak ono wyciskało piętno na jego twardej męskiej twarzy. Kolor błękitnych oczu stawał się jakiś ciemniejszy, a cera

(zatarte) przechodziła tu w ziemisty odcień. Usta zaciśnięte, ciemne brwi ścigały. Na wysokim czole pojawiała się pionowa bruzda. Był po nieprzespanej nocy. Wieczorem zajechał na wieś i całą noc pracował. Roboty było moc. Przygotowywał materiał dla tych wszystkich, którzy mieli teraz opuścić dzielnicę. Był sam, Justa była w podróży.

Hanusia nie знаła się na tej robocie i niewiele pomóc mogła. Siedział więc całą noc, o świcie umył się, odświeżył i wrócił do Krakowa. Gdy zaszedł do Alka, dowiedział się, że pośpiech był daremny. Dzielnicę zamknęli jeszcze po południu. Dolek, Ewa i Romek wydostali się w ostatniej chwili. Byli przekonani, że bez użycia broni nie wydobędą się. Jakoś poszło jednak. Ukryli się w magazynie i trwali tam dotychczas. Poza tą garstką, siedzącą tu na łóżku, wszyscy pozostali w dzielnicy.

Marek nie mógł usiedzieć na miejscu. Justa nie wracała. Dolka i Romka nie można było spotkać. Wszedł zatem do tramwaju i przejechał miasto. Minęli most na Wiśle i zbliżali się do dzielnicy. Marek nadśluchiwał. Nic nie uderzyło jednak w jego naprężony słuch. Cicho było. Ani strzałów, ani krzyków, ani jęków nawet. A przecież „akcja” się odbywała. Z daleka już widać było żandarmerię, jak gęstym kordonem obstawiała dzielnicę. Ale wszystko odbywało się niemal bez słów. Nie ma się czemu dziwić. Szło już wszystko swoim utartym torem. Wprawą zrobiła swoje. Każdy już przywykł do swej roli — jedni do skazywania innych na śmierć, a drudzy do znoszenia jej bez jęku.

Ulice były zupełnie puste. Tylko w dwóch punktach koncentrowała się akcja: Przed gmachem Urzędu Pracy, gdzie segregowano ludzi, zdolnych i rzekomo niezdolnych do pracy i na Placu Zgody, dokąd sprowadzano wszystkich, co mieli iść na śmierć.

Tu już zgromadzone były tłumy skazańców. Oddzielnie uszeregowano dzieci, oddzielnie starców, dalej kobiety, mężczyzn. Plac przepełniony był ludźmi, tysiącami już ludu, a nad nimi unosiła się ciężka, grobowa cisza i coś, niby widmo śmierci.

Tak wyglądała „akcja” w Krakowie. Wygnanie i śmierć miały tu takie samo oblicze, jak gdzie indziej. Ale to była stolica, na którą skierowane były oczy całego świata. Więc mord szerzył się pod płaszczykiem regularnej „akcji wysiedleńczej”. Gwałt odbywał się bez wrzasków, przemoc — bez jednego strzału. Gdzie indziej, na prowincji za to używa sobie tłuszcza na całego. W Tarnowie chociażby. Wygoniono na Rynek wszystkich. Kazano im klęczeć godzinami całymi. Kolana popuchły już ludziom, ale nie wolno było się podnieść. Dzieci z ramion matek wyrrywano i ustawiano je na boku w równym szeregu. Karabin maszynowy stał gotów. Puszczono go w ruch. Ciała dziecięce waliły się pokotem na ziemię w potoku krwi. Opodał klęczały matki i ojcowie, a ziemia się pod nimi nie zapadała. Albo, gdy natrafiali na liczną rodzinę, wyprowadzali ją w całości na podwórze, ustawiali pod murem i jednym pociągnięciem kładli ich z miejsca. Wszystkie podwórza, bramy, chodniki, zbroczone były krwią matek i dzieci. Długimi sznurami ciągnęły potem auta ciężarowe wysoko naładowane zwłokami ludzkimi, drgającymi jeszcze nieraz w agonii.

Jeśli kogoś minęła śmierć od kuli, to na prawdę nie wiadomo jak wytrzymał psychicznie ten, mrozący krew w żyłach, widok. Jak wytrzymał tę grozę, która dniami całymi wisiała nad miastem.

Ale i tę ciszę, która unosiła się nad dzielnicą w Krakowie, trudno było znieść. Było w niej więcej grozy, niż w jękach i krzykach rozpacz. Ta rutyna, z jaką pędzono ludzi, to bierne poddanie, z jakim szli na plac, budziła w człowieku bunt i szarpała nerwy.

Marek wrócił do Alka wstrząśnięty. Z platformy tramwaju widział tylko fragmenty. A co się tam jeszcze działo we wnętrzach domów, co między ulicami, których z tramwaju nie widać? Co z młodymi z ruchu, którzy nie zdołali się wydostać z ghetta?

Nazajutrz mieli się dopiero dowiedzieć przykrej prawdy. „Akcja” minęła błyskawicznie; w ciągu jednego dnia wywieziono z Krakowa siedem tysięcy ludzi. Kto mógł, ukrył się,

kto dał radę, wyrwał się z szeregów, lub zeskoczył z platformy w ostatniej chwili.

Poldek pilnował swoich. Młodzi przenosili się z piwnicy do piwnicy. Wyrwali się z matni raz po raz. Ale nie obeszło się bez ofiar. Przede wszystkim „wysiedlony” został Maniek. Ufał zbyt swemu zaświadczeniu pracy i miał schować się, stanął przed komisją. To wystarczyło.

A po nim Manusia. Cudem uratowana z Warszawy, wpadła teraz w Krakowie, w mieszkaniu swego brata.

A po niej Fryda. Miała już ruszyć do pracy. W przeddzień akcji powinna była nawet wyjść z dzielnicy, bo taki miała rozkaz. Ale stary dziadek nie pozwolił jej. Bał się o nią. Nie chciał, by się narażała. Więc postanowiła pocieszyć staruszką i pozostać przy nim jeszcze kilka dni. Przypłaciła to życiem.

A inni? Nikt nie wyszedł bez szwanku. Tu brat, ostatni z rodziny, tu siostra — bliźniaczka, matki, ojcowie. Wszędzie akcja pozostawiła swój ślad krwawy.

W dzielnicy pozostało siedem tysięcy ludzi. W każdym domu była żałoba, nikt już nie wątpił, że wcześniej czy później pójdą wszyscy.

A mimo to nazajutrz rozpoczęło się normalne życie w dzielnicy.

Byli wolni. Ostatnie węzły łączące ich z (zatarte) życiem codziennym pękły. Więc kto jeszcze wahał się, czy opuścić młodszego brata, jedyną siostrę, starych rodziców, ten nagle, po tej „akcji” poczuł, że ma ręce rozwiązane i może się bez skrupołów rzucić w wir pracy (zatarte) to było poczucie wolności, wyrosłe na gruzach życia rodzinnego. I ciężko było człowiekowi, co szedł naprzeciw sprawie wtedy dopiero, gdy wszystkie uczucia już zamarły.

Więc powstawały pytania, co dręczyły niby wyrzut sumienia: — czemu nie byłem gotów wcześniej? Dlaczego trzeba było dopiero śmierci, żebym wreszcie poczuł się nieskrępowany? A pytanie to coraz głębiej wdzierало się w serce i kie-

dyś, gdy ten i ów znalazł się za murami więzienia, miał trawić długie godziny w poszukiwaniu odpowiedzi.

Teraz jednak rzuceni w wir pracy, nie mogli długo się zastanawiać. Nie było czasu na refleksje. Ból zresztą szarpał serce do tego stopnia, że ludzie domagali się pracy, jako ostatniej deski ratunku. Zgłaszali swoją gotowość jeden za drugim, dla każdego od razu gotowa była praca. Październik dobiegał końca. Jesień była wyjątkowo piękna. Liście długo utrzymywały swą świeżą zielen. Słońce złościło ziemię, grzało ciepłem swych promieni. Były to jednak darowane dni. Każdej chwili mogło się niebo zasnuć chmurami i rzęsyty deszcz spaść na ziemię. Słotna, błotnista jesień była za progiem.

Trzeba się jej było każdej chwili spodziewać. Po dwóch ciężkich doświadczeniach w lasach, zrozumieli, że nie czas dziś na szukanie terenu pracy. Pora była za późna. Rozpocząć od początku było raczej na wiosnę. Teraz jesień a za nią zima, która stanęłaby w poprzek mającej się dopiero rozpocząć ich pracy.

Powstała nowa koncepcja. Tkwili w stolicy kraju. Czyż trzeba było daleko szukać obiektów działania? Bez rozbudowy wielkiego aparatu tajnego w lesie, mogli działać też na miejscu. Przez każdy najmniejszy nawet czyn uderzali w samo serce władzy. Uszkodzić główne sprężyny automatu — oto, co miało stać się celem. Tam w lasach można było prowadzić akcję partyzancką w większych oddziałach. W małej garstce niewiele dałoby się dokonać. Ale tu każdy wypadek w pojedynkę, czy we dwójkę, musiał wzbudzić niepokój rządu. Więcej niż niepokój.

Trzeba było wstrząsnąć ich zuchwałą pewnością siebie. Pokazać, że się nie nad bezduszną masą sprawuje swe bestialskie rządy. Że ten lud sponiewierany obudził się. Że znosił cierpienia do czasu, że nadchodzi długo oczekiwana wiosna ludów.

Tu i ówdzie odzywały się głosy rozsądku, że nie trzeba budzić czujności rządu, że należy raczej zbierać siły i stwarzać pozory, jakby się nic nie działo. Że trzeba tłumić w zarodku wszelką podejrziwość.

Nie dla nich jednak była taka (*zatarte*) Skąd bowiem mieli tę pewność, że doczekają wiosny? Ze śmiercią stykali się każdego dnia. Nigdy nie było wiadome, czy uda się jej uniknąć.

Więc musieli działać i to tak, by dać wrogowi odczuć swój bunt. Wobec tego postanowili przerzucić się na Kraków, a potem z kolei na inne większe miasta.

W ramach samej dzielnicy było tyle pracy! Trzeba się było rozprawić ze zdrajcami wewnątrz ghetta. Z tymi, którzy za kilka srebrników, lub za intratną obietnicę życia sprzedawali swych rodzonych braci. Byli wśród nich tacy, którzy mieli na sumieniu setki Żydów, skazanych na mord kapturowy. Przez cały rok drżała ludność przed obławami, odbywanymi w nocy. Według listy, perfidnie sporządzonej, szła policja od domu do domu i zabierała niewinnych ludzi, by ich w ciągu kilku dni wykończyć. Obiecywali sobie święcie zgładzenie w pierwszym rzędzie jego, a potem jego pomocników.

Postanowili więc pozostawić sobie jedną bazę w ghetcie, drugą poza ghettem. We wszystkich większych miastach na linii Kraków—Lwów i Kraków—Warszawa założyli punkty. Sam Kraków otoczyli również siecią mieszkań na prowincji.

Kierownictwo powoli usuwało się z Krakowa. Był już ostateczny czas po temu. Cała dzielnica bowiem rozbrzmiewała ich imieniem. Szeptem podawano sobie od ucha do ucha wiadomość, że to oni wysyłają ludzi w lasy. Niemal wszyscy podawali ich imiona z szacunkiem, graniczącym z wzruszeniem, dla wszystkich stały się ich imiona wyrazem nowej, wolnościowej idei, do której Ignęli całą duszą. Ale równocześnie imiona ich obijały się o uszy ludzi niepowołanych, stawały się popularne wśród milicji, która w zasadzie służyła lepiej rządowi, niż własnej ludności.

Ewa urządziła mieszkanie w Wiśniczu. Wynajęła tu mały domek i zamieszkali w nim we trójkę: Dolek, Ewa i Halina. Dolek dojeżdżał do pracy, co dzień zatem był w Krakowie, na noc zaś wracał do Wiśnicza.

Romek również zmienił mieszkanie. Czesiek, dzięki swym znajomościom, znalazł mieszkanie w dzielnicy niemieckiej w Krakowie. Tu więc zamieszkali obydwaj wraz z Romkiem.

W kilka dni po „akcji” nadeszły dwa telegramy o tej samej treści. Jeden do Krakowa, do siostry Anny w szpitalu, drugi na adres Marka na wsi. Brzmiały one: „Jestem bez żadnych środków do życia. Maniek”.

Wszystkich ogarnęło zdumienie w pierwszej chwili, potem radość. Mańka uważano już za straconego! A tu nagle okazuje się, że ocalał i jest w Rzeszowie. Natychmiast wysłano Helę z pieniędzmi i dokumentami.

Po dwóch dniach przywiozła go do Krakowa zdrowego i całego. Wyskoczył z zaplombowanego wagonu o czterdzieści kilometrów za Rzeszowem. Zranił i posiniaczył sobie trochę twarz. Jakoż dowlókl się na piechotę do Rzeszowa, stąd zatelegrafował do Marka i Anny. I oto jest.

Kierownictwo było znów w komplecie. Z jednej strony robota szła na całego niemal. Każdy miał już swoje ściśle określone zadanie, za którym uganiał się całymi dniami, od rana do wieczora. Czy to był wywiad, praca łącznika, czy sprawy techniczne, czy też wreszcie realna robota. Zawsze to pochłaniało człowieka bez reszty. Więc zgoniony, zmęczony, spieszył późnym wieczorem do domu, z bijącym radośnie sercem przekraczał jego próg. Był to ostatni dom w życiu, ostatni, w którym wszystkie uczucia człowieka raz jeszcze buchnęły w górę wysokim i jasnym płomieniem. Taka już w nich była potrzeba miłości wzajemnej, taka ciągła tęsknota za ciepłem wspólnego życia, że ilekroć wygasało jedno ognisko, rozplamieniali natychmiast nowe, silniejsze jeszcze. Zawierucha wojenna raz po raz zdmuchiwała im gorący płomień. I znów budziła się w nich ta sama dawna chęć przebywania razem. Marek coraz częściej pozostawał na noc w dzielnicy. Dolek również. Szczególnie zaś Romek niechętnie wychodził na miasto.

Raz właśnie w czasie takiego wieczoru, gdy Dolek nie powrócił na wieś, Ewa i Halina miały wieczorną przeprawę z miejscową policją.

Szantaż miał charakter niemiły i dwuznaczny. Dziewczęta wybrnęły jednak godnie. Tamci odeszli zawstyżeni. Naza jutrz upili się i przyszli do nich znów. Tym razem zastali tam Artka.

Znali go od dzieciństwa, wiedzieli kim jest. Nie było już innego wyjścia — trzeba było sprawę tuszować i wycofać się, nim oddana zostanie w ręce władz.

Natychmiast spakowała bagaże i wróciła do Krakowa. Należało właściwie bezzwłocznie szukać innego mieszkania w innej okolicy.

Ale robota nagle zwała się na kierownictwo i przygwoździła je po prostu na miejscu. Pracowali bez wytchnienia: jedno zajęcie goniło drugie. I choć wszyscy stanęli gotowi do pracy, było wciąż jeszcze za mało rąk. Działali równocześnie w kilku punktach. Czuli, że ta równoczesność kilku wyczynów w rozmaitych ośrodkach działa wstrząsająco na władze, a im silniejsze były wstrząsy, tym większy w nich był zapał do pracy. Nastąpiła naprawdę niezwykle dla nich czasa.

Nigdy jednak nie zdołała zagasić go w pełni. Zawsze pozostawała jeszcze w sercach jedna iskra, zawsze jeszcze tlił na dnie duszy mały płomień uczucia. I kiedy po każdym ciężkim przeżyciu spotykali się znów, mały płomyk rozniecał się coraz silniej, coraz wyżej, aż powstawało nowe ognisko serdecznego braterskiego współzycia.

Po ostatniej „akcji” w Krakowie pustka zapanowała w licznych domach. Młodzi ludzie pozostali sami, bez rodziców, rodzeństwa, ze szczupłym dobytkiem, ze skromnym urządzeniem małego, najczęściej jednopokojowego mieszkania. Tę spuściznę po wywiezionych rodzicach trzeba było spieniężyć, lub inaczej zlikwidować, gdy się człowiek puszczał w drogę.

Wtedy powstał nowy pomysł: urządzono likwidaturę. Tak się to nazywało. Powstała w mieszkaniu Szymka²⁷⁾, któremu wywieziono rodziców. Każdy z młodych przeniósł tu ze swego domu wszystko, co posiadał. Bieliznę, odzież, buty, przedmioty wartościowe, słowem to, czym można się było podzielić lub spieniężyć dla wspólnego dobra.

Po nagromadzeniu tego dobytku i uporządkowaniu go rozpoczęła się likwidacja. Każdy więc zgłaszał swoje zapotrzebowanie i otrzymywał odpowiedni dla siebie ekwipunek. Wierzenie człowieka stało się własnością wszystkich. Zatarły się ostateczne różnice, które i tak już ostatnio były znikome.

Powstała wspólna kasa, a co za tym idzie, wspólna kuchnia. Uczucie bezdomności zniknęło powoli. Brak ciepła domu rodzinnego został zastąpiony nowym ciepłem, innym, wyrosłym na gruncie nie więzów krwi, ale węzłów ducha. Schodzili się więc wszyscy razem w porze posiłków. I to były najmiłsze chwile w dniu. Wkrótce jednak przenieśli się już na dobre do tego małego dwuizbowego mieszkania i tu był odtąd ich dom. Mieściło się ono na parterze. Wchodziło się doń przez wielką, długą sień. Nim się człowiek zbliżył do drzwi, już dobiegał jego uszu wesoły, młodzieńczy gwar. Uchyłało się drzwi i już się było w ciepłym kręgu radosnego śmiechu i ożywionych rozmów. Przy kuchni stała zawsze zaaferowana Elza. Gospodarzyła i rządziła, kuchciła i utyskiwała bezustannie. Przypominała naprawdę zatroskaną mamę, której się jakoś nigdy nie wiedzie. Tu węgiel nieporąbany, tu woda nie przyniesiona, tu ogień się palić nie chce, słowem — te dzieci są strasznie niewdzięczne. A dzieci ciasnym wianuszkciem otaczały piec, brały się pod boki i drwiły z zagniewanej mamy. Elza już dłużej nie mogła panować nad gniewem i wybuchała serdecznym, głębokim, gardłowym śmiechem. Umiała się śmiać ta zdrowa, rasowa dziewczyna.

Wszystko w niej było zresztą rasowe. I śmiech, i płacz, i smutek, i radość. Była przedziwnie żywiołowa, nieledwie egzaltowana. Kiedy przejęła się czymś na serio, traktowała to tak poważnie, że zdawało się, jakby nie rozróżniała między małymi a wielkimi sprawami. Wtedy o szczegółach deklamowała z patosem i nadawała im wagę spraw życiowych. A kiedy znów popadała w wesołość, humor z niej tryskał i śmiech jej dźwięczał głośno. Za tą egzaltacją jednak kryła się dzielna dusza, ta dziewczyna przenosiła góry, kiedy chciała dokonać czegoś, pomóc komuś. A pomagała wszystkim z największą gotowością. Teraz z kolei całą swą duszę oddała kuchni pod trzynastką. Uważała, że na tym gospodarstwie domowym stoi świat cały, więc, kiedy teraz otaczali ją przy piecu i drwili z jej roboty, marszczyła brwi, wypędzała ich z kuchni i gospodarstwo szło, że aż hej!

Ciasno było, bo ciasno, piec, stoły i paki — wszystkiego

było za mało. Ustawiała zatem garnki na ziemi, całą kuchnię nimi zapełniała, a gdy drzwi się uchylały, trzeba było je na prędce usuwać. Kto wchodził, musiał chodzić ostrożnie między garnkami, a temu 'obrządkowi omijania przeszkód wtórował znów wesoły śmiech. Potem niespodzianie wszyscy rzucali się do sprząwania, żeby mieszkanie doprowadzić do ładu. I tu już słusznie poddawali się rozkazom Marysi. Lubiła porządek nade wszystko. Szorowała podłogi, zmywała, raz po raz sprzątała niestrudzenie. Ludzie jej wciąż narabiali ambarasu, a ona się wcale nie gniewała — nie umiała się nawet gniewać. Tylko uśmiechała się zażenowana i zamiast gniewać się, prosiła ich nieśmiało: — Wycierajcie nogi, nim wchodzić do pokoju. Ludzie, zrozumcież! Chwytała znów za miotłę i znów zmyiała. I tak w kółko krzątała się całymi dniami.

Szymek grał tu ważną rolę. Był przede wszystkim gospodarzem z tradycji. Więc poczuwając się do tego miłego obowiązku, zaglądał do każdego kąta i z rękami w kieszeni przypatrywał się wszystkiemu, co inni robili. A napatrzwszy się do syta, odchodził niezadowolony i wołał: — Ale tu jest bałagan! Ale nieopanowany bałagan!

Magazynierami byli we dwójkę wraz z Noliem²⁸). Urzędowali przy szafach i zaopatrywali ludzi w to, czego im było trzeba. Wszystko to zresztą szło na wesoło. Różne zabytki minionej epoki, starodawne stroje, które znajdowały się tu i ówdzie w likwidaturze, wprawiały ich wszystkich w serdeczny humor. Hanusia, ilekroć zajeżdżała do Krakowa, przywoziła na wieś Justynie rozmaite przedmioty, bezcenne dla gospodarstwa domowego, a które tylko w likwidaturze znaleźć można było.

I przywoziła ze sobą gorące pozdrowienie tego świata spotęgowanych uczuć, który zamykał się w małym, dwuizbowym mieszkaniu.

— Gdybyś ty, Justynko wiedziała, jak dobrze jest zajeżdżać do Krakowa! Wchodzisz tu i już jesteś w domu, wśród tych swoich najbliższych, wśród tych rozmów ukochanych. Na prawdę, że się już nie chce wracać do tej twojej pustej willi w lesie.

— 'Hanus — Juście zrobiło się smutno — czy ci naprawdę tak źle tu ze mną?

— Nie z tobą mi źle, ale za mnie i za ciebie mi źle. Oni tam żyją taką pełnią życia! Kiedy się schodzą po robocie, to jest im tak, jak kiedyś w Warszawie, jak wam w Kopalinach, a może jeszcze lepiej.

Było im tam naprawdę lepiej. W tym punkcie koncentrowało się życie ruchu całego. Kto przyjeżdżał do Krakowa, musiał za wszelką cenę dostać się do dzielnicy, żeby za wszelką cenę zajrzeć tam. Alek co dzień o zmroku opuszczał swój punkt i szedł pod (zamazane) Czesiek wychodził ze swej meliny, Romek się tu zakradał.

I tak spotykali się wszyscy miejscowi z przyjezdnymi; tacy, którzy od lat przebywali razem i tacy, co od lat do siebie tęsknili. Niewiadomo doprawdy, skąd się w tych znękanym ludziach wzięło tyle radosnego uczucia. Kto wie, może musieli wykrzesać z siebie tyle miłości, w tragicznym przeczuciu, że z chwilą opuszczenia domu, tu, pod trzynastką, opuszczają ostatnie w życiu gniazdo rodzinne.

A może czuli, że to środowisko, jest nie tylko ostatnim domem, ale ostatnim ogniskiem życia narodowego, ostatnim skupieniem ludzi bliskich, wśród których są sobą.

Więc też wchłaniali w siebie wszystkie wartości ludowe, ożywiali stare tradycje, słowem — żyli w specyficznej atmosferze specyficznego życia żydowskiego. Często wpadał Dolek. Dokoła jego osoby skupiała się wtedy cała gromada i wieczór stawał się uroczystszy, głębszy. Jakieś niewytłumaczone piękno unosiło się nad izbą. Takie wieczory niezwykle, odświeżające, głębokie, śladem wryły się w pamięć.

Coraz ciśniej było w izbie. Ludzie przybywali i choć wciąż nowi wypływali na placówkę, to równocześnie wciąż nowi napływali. W dzień drzwi były w ciągłym ruchu. W nocy jednak wyłaniał się cięższy problem lokowania ludzi. Zestawiano dwa łóżka ze sobą i układano się na nich w poprzek, w szóstkę, siódmkę. Improwizowano posłania na ziemi, na krzesłach, wykorzystywano każdy kącik na nocleg. Warunki zdrowotne były marne, najprymitywniejszych wygod czło-

wiek nie posiadał, ale nikt z nich nie byłby zrezygnował z tych niewygód. Były mu droższe od największego luksusu, od zbytkownego życia.

Ten dom pod trzynastką był bazą wypadową dla wszystkich w tym okresie robót. Koło wieczora wymykali się we dwójkę, trójkę, i tak jedni mieli załatwiać się wewnątrz dzielnicy ze zdrajcami i sprzedawczykami, a drudzy poza dzielnicą szukali broni. Na minutę przed godziną policyjną wpadali zdyszani — czasem pełni triumfu, czasem zaś rozdrażnieni, że nie powiodło się, choć byli już tuż, tuż. Wielokrotnie wymykali się cudem z rąk policji. Nieraz zdawało się, że strzały przelatwały nad ich głowami. I tylko zręczne odchylenie głowy, ratowało życie.

Raz, wieczorem, wybrali się Zyga, Dolek i Czesiek na robotę. Czesiek służył za przynętę, Zyga i Dolek czekali nad Wisłą, skryci w ciemności. Czesiek jakoś nie wracał. Chłopcy czekali niecierpliwie. Palili się do roboty. W kieszeni mieli broń. Ściskali ją kurczowo. Chcieli już, już wypalić. A Czesiek nie wracał.

Nagle rozległ się strzał. Zyga runął na ziemię. Dolek rozejrzał się, nikogo nie widać. Kto strzelił? W jednej chwili pojął wszystko. Zygmunt w napięciu i zdenerwowaniu pociągnął za cyngiel. Kula przeszła przez kolano, przeszła nogę aż do golenia i wyszła na wierzch nie naruszywszy kości.

Zyga leżał bezwładny. Dolek był sam. Czesiek dotychczas nie wrócił. A tu trzeba było działać. Zabrać rannego chłopca, zanim ktokolwiek się spostrzeże. Na razie było pusto dokoła. Dźwignął go z ziemi pośpiesznie.

Zyga zagryzł wargi i stanął. Wsparł się na ramieniu Dolka i postawił pierwszy krok. Ból był nie do zniesienia. Nie było jednak chwili czasu do stracenia. Trzeba było iść i to możliwie najszybciej.

Nie czekali na Czeska. O robocie dziś już nie było mowy. Z nadludzkim wprost wysiłkiem dowlekli się do dzielnicy. Zdążyli jeszcze przed godziną policyjną. Gdy weszli pod trzynastkę przestraszył wszystkich widok trupiej twarzy Zygi. Gwar i śmiech przycichnął. Rozmowy umilkły.

Dziewczęta przygotowały posłanie. Ułożyły na nim chłopca. Rana była poważna, noga broczyła krwią. Trzeba było lekarza. A tu nie wolno było nikogo wtajemniczać. Posłano po Annę. Opatrunek jednak nie wystarczał. Zastrzyk też nie. Ranę musiało się zeszyć.

Nie było innego wyjścia. Postanowiono wezwać zaufaną lekarkę-chirurga.

Było już po dziewiątej. Lekarka dla bezpieczeństwa przyszła w towarzystwie dwóch milicjantów. Sytuacja stała się niemiła. Rozglądali się ciekawie po mieszkaniu.

Skąd tyle młodzieży w takim małym mieszkaniu? A ta rana — cóż to właściwie za przypadek?

Trzeba było ich ciekawość zaspokoić. Czujność uspić. Opowiedziano jakąś niestworzoną historię o wypadku przy pracy. Słuchali z niedowierzaniem. Rozglądali się, chcieli koniecznie obejrzeć sobie ranę. Z trudem przekonano ich, że nie można.

Kiedy po zabiegu chirurgicznym odeszli, odetchnęli wszyscy z ulgą. Stąpali wszyscy na palcach. Niebawym do tychczas spokój zaległ obie izby.

Ranny zasnął. Czuwali nad nim w bezgranicznym oddaniu.

Był im teraz droższy niż kiedykolwiek.

Dochodziła dziewiąta, kiedy Czesiek przyszedł na umówiony punkt. Nie zastał już nikogo. Przeraził się nie na żarty. Wyprawa nie udała się dzisiaj. Wachmistrz, którego miał sprowadzić, był zajęty, nie mógł wyjść z nim na miasto. Cały wieczór był zatem stracony. A teraz w dodatku wiadomo, gdzie podział się Dolek i Zygmunt. Czesiek przeszedł się po bulwarze kilkakrotnie i pogwizdywał. Nikt nie odpowiadał. Spojrzał raz jeszcze na zegarek. Była dziewiąta.

Zaklął z cicha — i puścił się szybko ku domowi. Dziś już nie zajrzał do dzielnicy. Pójdzie na swoje mieszkanie. A jutro może dowie się czegoś. Może Alek będzie coś wie-

dział. W ciągu dnia nie powinien bowiem chodzić po ulicy. Już go ten i ów ma na oku. Ale jak tu dowiedzieć się prawdy?

Był bardzo zaniepokojony. Nadomiar czuł niesmak po straconym wieczorze. Nie mógł sobie miejsca znaleźć.

Następnego dnia, koło wieczora, zaszedł do domu pod trzynastką. Przypadł wzruszony do łóżka swego przyjaciela; nie mówili do siebie słowa. Dokoła nich posuwali się bezszelestnie. Byli wszyscy jeszcze pod wrażeniem zdarzenia.

I stało się tak, że smutek zakradł się do domu pod trzynastką. Robota szła dalej wprawdzie swoją drogą. Byli już w takim rozpędzie, że nic ich nie mogło powstrzymać. Więc szli naprzód całą parą.

Tych wieczorów, tego polowania w ukryciu, tego czatowania za węglem, tych wypadów z ciemnego zaułka, włóczenia się pod domem, nie zapomni chyba nikt.

Praca w zasadzie stała się ich upiorem. Jakkolwiek nie przywykli do niej dotychczas, weszli w nią całą duszą. I tylko wtedy czuli się dobrze, kiedy w mroku uganiali się za robotą. A w *(zamazane)* czuli broń.

Te niezapomniane wieczory. Wpadało się pod trzynastkę i rzucało się krótkie słowo:

— Gotowe!

A potem nikt nie spał przez noc całą z podniecenia i czuli się wszyscy zwycięzcami. Przez następne dni szukali w całym mieście winowajców, a oni siedzieli w samym centrum ghetta, chodzili po ulicy i w kułak śmieli się z bezowocnych wysiłków policji.

Ale były cienie, które kładły się na duszę ciężarem. Była trójka, co wyruszyła po złote runo — i od której ani znaku dotychczas nie było. Nikt się zresztą już nie łudził. Edwin, Emil, Harry byli straceni i nikt nie miał pojęcia jak zginęli. Zniknęli bez śladu, a to było straszne. Ta myśl nikomu nie dawała spokoju. Starali się nie mówić o tym, ale w głębi duszy powtarzali sobie wszyscy:

— Nie wrócą, nie wrócą, już nigdy, nie wrócą.

Powaga i spokój panowały teraz pod trzynastką. Więc

się w tej ciszy toczyły smutne myśli. Tym smutniejsze, że Zygmunt był poważnie chory.

Otoczyli go serdeczną opieką. Dokoła jego łóżka skupiało się teraz życie. Coraz kto inny doń dochodził i rozmawiał z nim cichutko, tak by go nie męczyć i tylko umilić mu ten przymusowy odpoczynek. Dziewczęta prześcigały się wzajemnie w troskliwości. Gotowały mu wyszukane potrawy, znosiły owoce i smakołyki. Każda ubiegała się nie tyle o jego względy, ile o skromny zaszczyt, by mu być pomocną. I w tym wyścigu na pierwszy plan wysunęły się szybko Stasia i Giza²⁹⁾). Były mu matkami — tak je też żartobliwie nazywał. Nie mógł się jeszcze dźwignąć z łóżka, ból dokuczał mu poważnie, ale pierwsze wrażenie nieszczęsnego strzału minęło. Poczęły się znów sypać dowcipy. Rozmowy stały się głośniejsze, a śmiech coraz częściej rozbrzmiewał. Pieśń dawała się słyszeć z dnia na dzień radośniejsza. Życie pod trzynastką wracało w swe normalne tryby. Pewnego wieczora wpadła niespodzianka Mirka. Twarz jej jaśniała najprzyjemniejszym uśmiechem. Była szczęśliwa.

— Jest Anka! — rzuciła od progu.

— Co ty powiadasz?

— Gdzie jest?

Pod wpływem tej szczerzej wiadomości smutek powoli ustępował miejsca cichej pogodzie. Zyga rozruszał się powoli. Żał mu było, że z własnej winy stał się nawet ich ciężarem. Ale w tym pełnym miłości cieple, żal topniał coraz bardziej. Uspakajał się.

— Śniło ci się chyba?

— Powiadam że jest i jest!

— Czemu nie przysła razem z tobą?

— Przyjdzie, zaraz zobaczycie.

— Opowiedz jakim cudem się to stało.

— Chyba nie uciekła z więzienia?

— Uspokójcie się. Opowiem wszystko. Wracam od Alka. Byłam u niego, bo... zresztą mniejsza z tym. Wtem drzwi się otwierają i wchodzi Anka. Wyobraźcie sobie moje zdziwienie. Nie, to nie było zdziwienie ani radość. Sama nie wien-

jak to nazwać. Anka żyje! Została zwolniona. Zrozumcie to! Bez żadnej protekcji, żadnej interwencji. Utrzymała się w swej roli do ostatka. Wszyscy uwierzyli jej. Uznali, że została niewinnie uwięziona. Pomyślcie tylko!

— I jak się czuje teraz?

— Zupełnie normalnie! Trochę przybladła, trochę schudła, ale jest sobą. Wróciła pełna sił i chce natychmiast ruszyć do pracy. Przekonacie się zresztą sami. Przyjdzie tu zaraz.

Czekali na nią niecierpliwie. Anka była wojennym nabytkiem ruchu. Do niedawna żyła w kołach wyłącznie polskich. Nie wiedziała zbyt wiele o tym, że jest Żydówką. A jeśli o tym pamiętała, starała się raczej stłumić to w sobie. Harcerstwo polskie wycisnęło na niej swe piętno. Kiedy po raz pierwszy zetknęła się z Mirką, zapalały sympatią do siebie. Spotkały się na pograniczu dwóch światów, a mimo to rozumiały się doskonale. Mira była o wiele starsza. Jej czar osobisty podziałał na Ankę. Zaprzyjaźniły się. Wtedy Anka poczuła się Żydówką. Weszła w ruch, już jako zupełnie dojrzała dziewczyna. Chciała zaraz wchłonąć wszystko, poznać całą organizację, jej drogę ideową, jej historię ludzi. Być na wszystkich punktach, nadrobić cały stracony czas. Do pracy bojowej okazała się w pełni przygotowana. Przystąpiła do niej z prawdziwym hartem swego dziewczęcego ducha. Dała temu wyraźny dowód we więzieniu. Wytrzymała w swej pozycji do ostatka. Nie chciała się poddać i tak długo utrzymywała się na wysokości swego zadania, aż wszystkich zbiła z tropu. Oczyszczono ją z zarzutu żydowskiego pochodzenia. Sam klucznik poświadczył, że to było chyba oszczerstwo. Tak to siłą swej własnej woli, wyrwała się z krat. Wyfrunęła na wolność — i wróciła do swego rodzinnego gniazda. Tu jednak czekało ją jeszcze jedno przeżycie. Kiedy wyjeżdżała z Krakowa, nie pożegnała się nawet z matką. Ta (*zatarte*) nie chciała puścić jedynej córki w drogę. Anka tłumaczyła na wszystkie strony, przekonywała i błagała — ale na darmo. Wtedy użyła podstępu. Zabrała kilka niezbędnych drobnostek — i poszła na noc do

przyjaciółki. Matki nie było w domu. Ucałowała małego braciszka i — poszła. Nie wróciła więcej.

W podróży mówiła sobie:

— Za tydzień lub dwa wrócę do Krakowa. Mama ucieszy się i wybaczy mi. Tak się pocieszała. Ale nie wiedziała, że czeka ją już pierwsza zasadzka. Zyga, wracając raz z Rozwadowa opowiadał, jak widział ją prowadzoną przez posterunkowego.

— Szła z nim tak dumnie, że zdawało się, jakby ona prowadziła policjanta na posterunek, a nie on ją aresztował.

Dumna ta postawa pozostała jej do końca. Wewnątrz żarła ją tęsknota za matką i braciszkiem — i bała się, że ich już nigdy nie zobaczy. Więc kiedy teraz wróciła do Krakowa, myślała o nich bezustannie.

Nie wiedziała jednak, że w międzyczasie była „akcja” w dzielnicy. Przybywszy do Krakowa, nie zastała już ani matki, ani braciszka. Na to nie była przygotowana. Toteż bladeść pokrywała jej twarz, kiedy wchodziła pod trzynastkę. Nie przełamała jeszcze tej wieści.

Radość z jaką ją powitano, rzuciła się na nią gorącą falą. Poczuła, że jednak do swoich wróciła, do domu w którym odpocznie po napięciu nerwowym, jakie przeżyła w więzieniu. Z trudem wydobyła się z gorących uścisków. W kuchni zaczęli się wszyscy tłoczyć do niej, każdy chciał jej choćby rękę uścisnąć. Poprzez głowy stłoczone koło niej, zauważyła, że ktoś tam w pokoju leży na łóżku.

— Kto jest chory?

— Zygmunt.

Weszła szybko do pokoju i usiadła na łóżku przy nim. Rozmawiali ze sobą długo. A radość, szeroką strugą rozlewała się dokoła. Ciężar spadł wszystkim ze serc. Odtąd każda chwila nosiła w sobie pogodę. Cieszyli się sobą, jak nigdy. Tego samego tygodnia spędzili jeden z najpiękniejszych wieczorów na cześć Anki. Było to powitanie soboty. Przygotowanie do uroczystości trwało pełne dwa dni. Wszyscy oczekiwali jej w napięciu. Miało rozpocząć się w piątek o zmroku, a zakończyć dopiero o świcie. Od lat strzegli w ruchu tej od-

świętej tradycji. Z szeregu dnia powszedniego, przechodziło się nagłym przeskokiem ku świętu. W nabożnym skupieniu czekało się na tę chwilę, kiedy nagle zapłoną świece w odświętnie ozdobionej izbie. Dziewczęta w białych bluzkach, chłopcy w białych koszulach, z szeroko wyłożonymi kołnierzami, siadali wzruszeni dokoła biało nakrytego stołu. Najpierw była chwila ciszy. A potem z wszystkich piersi buchła silna, powitalna pieśń. Oczy błyszczały od blasku świec. Silne wzruszenie malowało się w tych szeroko rozwartych żenicach. Jakaś inna dusza wstępowała w człowieka: czystsza i lepsza.

Tak było zawsze, od lat. Czy w cichej wsi, czy też w gwarным mieście, czy wysoko w górach, czy też wśród kominów fabrycznych, — zawsze z tą samą pieśnią, z tym samym uczuciem, wychodzili sobocie naprzeciw. A dziś witali ją w tym gronie po raz ostatni.

Nie mieli żadnych złych przeczuć. Byli tacy szczęśliwi, tak pieśń za pieśnią płynęła dźwięczną serdeczną nutą i zespoliła ich coraz silniej i coraz mocniej!

Ale wśród szczęścia co wypełniało ich po brzegi, padło ni stąd ni zowąd określenie: to ostatnia wieczera.

Podchwycono je — i utrwalono w pamięci. Odtąd już nie mówiono o tym wieczorze inaczej.

Na ostatku siedział Dolek, dokoła niego twarze kochane, serdeczne, rozpromienione, dziarskie i tak ogromnie bliskie. Ciasno stłoczeni siedzą ludzie, jedni obok drugich. Już dawno izba jest pełna, a tu wciąż jeszcze nowi przybywają — i dla wszystkich musi być miejsce. W rogu siedzi Martusia⁴⁰). Szeroko rozwartymi oczyma wpatruje się w Dolka, w te rozjaśnione twarze, w płonące świece.

Po raz pierwszy spędza sobotę poza domem. Kilka dni temu wyjechała z Tomaszowa. Opuściła ghetto w chwili, gdy już stę rozpoczynała „akcja”. Wiedziała, że może już nigdy nie zobaczy swoich rodziców. Tacy młodzi byli charakterem! Ojciec, żegnając ją, mówił:

— Szkoda, że nie jestem kilka lat młodszy. Poszedłbym z wami napewno!

Marta uniosła w sobie te słowa, przechowała je w sercu, jak najdroższą po ojcu pamiątkę. I teraz o tym myśli bezustannie.

Już nie ma domu! Nie ma domu! Tam pewnie „akcja” zagarnęła już i ojca, i matkę, i siostrę młodszą, a ona została sama na świecie. Ma dopiero siedemnaście lat. Szeroko rozwartymi oczyma wodzi dokoła. Nie czuje żadnego bólu, żadnego żalu za domem utraconym, za dzieciństwem, za bez troską młodością, która przepadła na zawsze. Tu jest jej miejsce, wśród młodej gromady. Tak jej dobrze w tej natłoczonej izbie... I tak dobrze jej słuchać słów Dolka. Zna go od lat. Czuje żywo, że dziś inaczej mówi, niż zwykł był mówić dawniej. Dawniej w jego słowach drżała siła, twórcza moc, co kazała wierzyć w życie i kochać je. A dziś dźwięczało w nich przecucie nieuniknionego końca, któremu należy wyjść dumnie na przeciw.

I było tak, jakby czuł nadchodzącą śmierć, bo mówił o niej często. Nie wierzył, że można przetrwać i nie chciał, by inni wierzyli. Nie chciał złudzeń. Pragnął, by każdy kto ruszał w pracę, świadom był tego, że koniec nadchodzi. Więc i teraz, w ten jasny świąteczny nastrój, rzucił swe twarde słowa:

— Z naszej drogi nie ma powrotu. Kroczymy szlakiem śmierci; pamiętajcie o tym. Kto pragnie życia, niech go nie szuka pośród nas. My jesteśmy u kresu. Tylko, że nasz kres nie jest zmierzchem. Nasz kres jest śmiercią, której silny człowiek idzie sam naprzeciw. Czuje, że to ostatnie wspólne powitanie soboty. Trzeba się będzie z dzielnicy usunąć. Zbyt wielki jest rozgłos dokoła nas. W tym tygodniu powoli poczyniemy likwidować ten nasz miły ośrodek pod trzynastką. Zamknie się jeszcze jedna faza w naszym życiu. Niczego nam jednak nie wolno żałować. Tak musi być.

Świt już szarzał za oknem, kiedy dobiegała do końca ta ostatnia wieczerza.

Nazajutrz, a była to niedziela, Dolek zebrał nową piątkę. Tośka, Marta, Henek⁴¹⁾, Reń⁴²⁾ i Giza⁴³⁾. Ruszyli do pracy. Każdy z nich ruszył na inny punkt. Dał im ostatnie instrukcje

i coś, niby ojcowskie błogosławieństwo na drogę. Nie, to nie było błogosławieństwo. To były słowa otuchy, to była siła, której zapas miał im starczyć na długo. Choć przez to wszystkim przewijała się jedna myśl:

Idziecie na pewną śmierć!

Zbliżały się dnie pierwszego przesilenia. Z tą pracą było jak z muzyką, jak z tonami, które wymykają się pojedynczo i zlewają się na jedną harmonijną melodię. A melodia ta nie ma w sobie niczego z monotonią; barwnie wznoszą się tony coraz wyżej, aż dochodzą do punktu najwyższego. Wtedy pada akord. Silny zespół wysokich tonów, i rozbrzmiewają wokół czystym dźwiękiem. To jest przesilenie melodii. Ona nie kończy się jeszcze, nie. Ale po tym silnym akordzie musi nastąpić cisza, żeby tym potężniej rozbrzmiewały zharmonizowane tony. Instrument milczy, artysta odpoczywa, ale muzyka dźwięczy jeszcze w uszach, a fale powietrza wciąż drżały, nabrzmiały jasnymi tonami.

A kiedy przebrzmi ten najwyższy akord i tylko jakby z oddali dobiegają ostatnie przyciszone akordy, wtedy artysta chwyci znów instrument, znów z cicha uderza w struny, budzi znów nową melodię. Zrazu brzdąka cicho, ale potem tony się rozwijają, znów melodia idzie w górę i pnie się, pnie się ku wyżynom — aż padnie ten najsilniejszy akord, po którym musi nastąpić chwila ciszy.

Tak też było u nich z pracą w chwili, gdy piszę te słowa. Żyją jeszcze liczni z tych, co wieczorem wypadali z ciemnych zaułków, zadawali cios i zdobywszy broń, znikali w gęstym mroku. Z tych, co po gwarnych ulicach rozrzucali słowa pisane, mające budzić człowieka z odrętwienia. Z tych, co pod oczyma bacznie obserwującej policji tajnej, prowadzili swą kręcią robotę i przeszywali grunt pod ziarnio wolności. Z tych, co się niczego na świecie nie bali i tylko pragnęli godnej śmierci. Wielu z nas czeka na tę śmierć za murami więzienia. Śledztwo jest w pełnym toku. Każde słowo za-

ważyć może na losie tych, którzy jeszcze korzystają z wolności, prowadzą swą robotę. Więc muszę się wciąż ograniczać. Wciąż jeszcze nie wolno mi opowiedzieć tego, czego dokonali ci młodzi, nieustraszeni ludzie.

Każdy wieczór był uwieńczony czynem. Każdy czyn odzywał się echem u tych tam, co mienili się panami życia i śmierci milionów bezbronnych ludzi. Wśród tych wieczorów jednak istniała pewna gradacja, było coraz treściwsze, coraz pewniejsze. Zbliżali się powoli do punktu kulminacyjnego, do pierwszego przesilenia.

Był początek listopada, noce już były długie, mgły coraz gęstsze otaczały ziemię. Gdzieś na plantach, między krzakami, zaczaili się w trójkę. Dolek, Jędrak i Stefek. Trójka była doborowa. Jędrak właściwie niedawno wypłynął na powierzchnię. Był wychowankiem Justy. Pokładała zawsze w nim wielkie nadzieje. Cechował go jednak, od najmłodszych lat, pewnego rodzaju cynizm. Wyrażał się w jego dowcipie, w jego obojętnym stosunku do wszystkiego, co innych entuzjazmowało, a wreszcie w całej jego twarzy. I choć Justa nienawidziła cynizmu, wierzyła, że zapewne kiedyś cynizm Jędraka okaże się twórczy. Nikt nie zrozumiał tego paradoksu. Tylko Justa sama, choć nie umiała go wytłumaczyć, wierzyła weń. Kiedy Jędrak wycofał się z ruchu, ludzie z plutonu dali jej delikatnie do zrozumienia, że ich wszystkie nadzieje spaliły na panewce. A ona, mimo to, dalej uważała go za swego człowieka i czekała, aż Jędrak powróci. Wrócił po kilku latach. Ale w samą porę. Jego cynizm okazał się naprawdę cechą pozytywną. Pozwalał mu zawsze zachowywać zimną krew.

Stefek również niedawno dopiero ukazał się na widowni ruchu. A raczej również niedawno dopiero powrócił doń. Nikt właściwie nie wiedział, co o nim myśleć. Milczał jak grób. To milczenie obiecywało wiele. Kazało domyślić się w nim dojrzałego mężczyzny, o wielkiej mądrości i silnym charakterze. Zdrowa i poważna postawa. uzupełniała tę całość. Były chwile, że wahano się, czy zaufać temu milczeniu. Ale ostatecznie pracował sumiennie i bywał niezastąpiony. Gdy cho-

dziło o poważne wyczyny, należał do poważnych sił. A dzisiejszy wyczyn miał naprawdę być poważny. Mieli uderzyć w najwyższy akord.

Nie czekali długo. Po chwili usłyszeli ciężkie, butne kroki. Olbrzymia postać wachmistrza ukazała się w ciemności. Była w tej chwili symbolem buty i gwałtu, i przemocy, i haniebnego zła, które musi zniknąć ze świata. Cichy bunt, zawziętość od miesięcy tłumiona, wybuchła nagle z niewytłumaczoną dotychczas siłą. Jedna chwila wyładowania — i zło uosobione leży we krwi. Ściskając kurczowo zdobytą broń, mieszają się z tłumem. Nikt ich nie spostrzegł. Wszyscy wystraszeni odgłosem strzałów, uciekają w popłochu. Myślą tylko o sobie. Tylko o tym, by nie padło na nich podejrzenie. A nasza trójka z pełnym spokojem idzie wolno ku domowi. Idą krętą drogą, bocznymi ulicami, by na wszelki wypadek zmylić ślad. Mogli jednak iść bezpiecznie. Nikt ich nie śledził. Dolek, wróciwszy do domu, czuje silny ból głowy. Może tylko udaje. Chce koniecznie być sam. Chce ciszy i spokoju. Kładzie się na kanapie, a wszyscy cicho wychodzą z pokoju. Zawrzało na mieście. Tego już władzom było za wiele. Tu już poczuli, że podziemna siła wzbiera. Że opór przybiera rozmiary walki. Że trzeba stłumić bunt w zarodku. Że trzeba zdusić hydrę, nim wyżej głowę podniesie. Och, jak nienawidzili tych młodych, co się teraz poderwali do wielkiego czynu. A jak się bali, jak bezgranicznie bali.

A, przy tym, jak im wstyd było, że jest ktoś, kto ośmielił się stawić opór. Jak im wstyd było, że tu działa jakiś tajny aparat, którego nie przytłumili dotychczas. Więc chociaż wielkimi literami widniało w pismach o zgonie bohatera, co padł na posterunku pracy, lansowano tanie wersje o tym, że padł z rąk nieznanych opryszków, lub, że sam odebrał sobie życie z niewiadomych, nikomu przyczyn.

W coraz to nowych wersjach szła wieść o tajemniczym zamachu, zawsze jednak władze starały się nadać charakter zatargu ulicznego, lub prywatnej osobistej intrygi. Niemniej jednak powzięte zostały środki ostrożności i tu już było pierwsze oficjalne przyznanie się władzy do faktu, że liczy,

się poważnie z przeciwnikiem, pracującym w podziemiach, że traktuje go jako wroga, jako godnego siebie przeciwnika.

Przesunięto godzinę policyjną z jedenastej na dziewiątą wieczorem. Paniczny strach padł na ludność; ledwie zmrok zapadł, ulice pustoszały i ludzie w popłochu uciekali do domu.

Patrole częściej obchodziły ulice, mierzyły przechodniów podejrzliwym wzrokiem, rewidowali tego lub owego, szerzyli postrach.

Były to jednak 'tylko środki' zapobiegawcze na przyszłość. Trzeba było równocześnie odszukać sprawcę, trafić doń każdą możliwą drogą. Poczeli poszukiwania przez zakładników. Śnać dobrą drogę obrali. Wśród dwudziestu zakładników wybranych w dzielnicy, znaleźli się tacy, którzy umieli wskazać właściwy adres. Nie ma się czemu dziwić.

Nikt w dzielnicy nie znał ani jednego szczegółu. Nikt nie orientował się nawet, w jakim kierunku idzie praca ruchu, wszyscy tylko wyczuwali, że tu się gotuje czyn powstańczy. Dla człowieka tchórzliwego, który czuł nóż na gardle, było najprostszą rzeczą powiedzieć:

— To oni!

I choć nikt nie złapał ich przy robocie, znalazło się w jednej chwili całe kierownictwo na indeksie. Było to na razie w rękach milicji, ale ta rzuciła się z zapalem do roboty, jakby to czyniła dla jakiejś świętej sprawy.

Kierownictwo ruchu dowiedziało się o niebezpieczeństwie na czas. Postanowiło zaraz następnego dnia zakonspirować się, opuścić dzielnicę. Nic ich to nie przerażało. Przeciwnie — te rozpoczynające się rozgrywki rozgrzewały im krew w żyłach. Czuli, że nadchodzi chwila, gdy trzeba będzie rozpocząć otwartą walkę. Cieszyli się na myśl o niej. Humor im się poprawił. Ułożyli szczegółowy plan. Nazajutrz rano mieli (zamazane) przystąpić. Tej nocy na razie mieli tylko ukryć się pod nie swoim adresem.

Traktowali sprawę dość lekko. Nie spodziewali się zbytniego pospiechu ze strony milicji.

Tego wieczoru wróciła Ewa z podróży. Była bardzo zmę-

czona, zdążyła zaledwie przywitać się z Dolkiem, już chciała ułożyć się do snu.

A. Dolek właśnie zamierzał odejść z domu. Postanowił przenocować u swej matki. Mieszkanie było tam wolne. Rodzice, od ostatniej „akcji” pozostali już poza dzielnicą. Mira była w podróży. Wyjechała do Radomia dla nawiązania kontaktu z gniazdem, ze Sabiną. Miejsca więc było dość.

— Pójdiesz ze mną.

— A to czemu? Dokąd? — zapytała zdziwiona.

Opowiedział jej pokrótce. Wysłuchiwała w zupełnym spokoju.

— Więc?

— Zostanę tutaj. Jestem ogromnie zmęczona. Już nigdzie nie pójde dzisiaj, bo nie mam sił. A zresztą — dodała roześmiana — dziś się jeszcze nic nie zdarzy.

Tymczasem zdarzyło się wiele. Zaraz po odejściu Dolka Ewa zasnęła twardo. Znużenie kilkudniowe rzuciło się na nią i ubezwładniło ją zupełnie. Nie usłyszała nawet ostrego dobijania się do drzwi. A było dopiero wpół do dziesiątej. Nie usłyszała nawet, jak dziesięciu milicjantów wkroczyło do mieszkania. Weszli z tupetem, hałasem. Byli „zwycięzcami”. Jedną część swego zadania wypełnili już. Przed chwilą odprowadzili na policję Mańka. Jak zawsze — liczył na to, że nic mu się nie stanie. I czekał w domu. Jak na początek, udało im się świetnie. Więc teraz już pewni siebie wkroczyli do mieszkania. Ewa spała twardo. Dopiero podniesione głosy zbudziły ją. Pođerwała się. Wzrok jej padł na Artura¹⁾. Był jej kolegą, studenckim partnerem na wieczorach dramatycznych, nieledwie przyjacielem, towarzyszem dawnych zabaw, a co za tym idzie, pewnie adoratorem. Ostatnio już jako milicjant wysokiej rangi bywał u niej często. Rozmawiali ze sobą otwarcie. Mieli do niego zaufanie, chcieli pozyskać go dla sprawy. Nie był daleki od niej, zresztą brakło mu tylko decyzji. Ale i tej spodziewali się wkrótce.

Kiedy Ewa spotkała się z jego wzrokiem, pomyślała:

— Jakoś to pójdzie! Jest przecież Artur.

A on pomyślał:

— Szkoda tej pięknej dziewczyny. Ale trudno, nie będę się bawił w sentymenty. I powiedział jej:

— Przyszedliśmy po Dolka.

— Nie ma go — odpowiedziała twardo.

— Gdzie jest?

— Nie wasza to rzecz.

— Wobec tego musisz iść z nami.

— W jakiej roli?

— Jako zakładniczka.

— Idę.

I poszła. Odprowadzili ją na posterunek milicji. Była spokojna. Oni jednak — nie. Otrzymali rozkaz zaafesztowania wszystkich ludzi o tym samym nazwisku. Przede wszystkim zaś rodziców. Wyruszyli zatem raz jeszcze na wyprawę. Dzielnica była mała. Odległość znikomą. Do najodleglejszego punktu można było dotrzeć w ciągu pięciu minut. Toteż niebawem znaleźli się przed domem rodziców Dolka. Wszędzie już było ciemno. Romek spał z Dolką na tapczanie. Usnęli z najlepszym samopoczuciem. Perspektywa pierwszego zatargu z milicją podniecała ich niezmiernie. Zacierali aż ręce. I tylko czekali, aż się rozgrywka zacznie. Spali zatem snem ludzi zadowolonych, kiedy dziesiątka umundurowanych przestąpiła próg. Zapalono światła. Obydwaj zbudzili się. Jednym spojrzeniem ogarnęli sytuację. Nic nie powiedzieli. Leżeli dalej spokojnie i wpatrywali się obojętnie w przybyłych. Lecz kiedy Artur zauważył Dolka, wzbudziło się w nim coś, niby sumienie. Nie wiedział, że go tu zastanie. Nie przygotował się więc do tego wewnątrz. Jak stanąć przed tym człowiekiem, wobec którego czuł się marny.

Chcąc zatem zyskać na czasie, udawał, że nie widzi mężczyzn na tapczanie i wprowadził całą dziesiątkę do pokoju przyległego. Wymienił imię i nazwisko. Mieszkała tu zupełnie obca rodzina.

— Nie ma tu takiego.

Nie było innej rady. Musiał zawrócić ich do pierwszej izby. Zebrał się na odwagę. Odetchnął i powiedział jakby nieśmiało:

— Do ciebie przyszliśmy, Dolek.

— Aż tutaj?

— Szukaliśmy cię w twoim mieszkaniu.

— I?

— Musieliśmy zaaresztować Ewę jako zakładniczkę.

— Rozumiem. Pójdę z wami pod tym jednak warunkiem, że najpierw zwolnicie żonę.

— Dobrze. Zbieraj się, a ja tymczasem pobiegnę na posterunek. Nim przyjdiesz pod gmach policji, Ewa będzie zwolniona.

Artur wyszedł. Dolek wyskoczył z łóżka i ubierał się pośpiesznie. Był już zupełnie gotów, a jeszcze wciąż poprawiał jakieś szczegóły toalety. W gruncie rzeczy szukał czegoś. Wreszcie powiedział:

— Gotów!

Odetchnęli z ulgą, kiedy zobaczyli go gotowego do drogi. Bali się oporu, więc to posłuszeństwo było małą niespodzianką. Nie rozumieli wprawdzie, po co tak długo zatrzymywał się w czasie ubierania, ale ostatecznie mieli go już w rękach. A reszta, cóż ich obchodzi.

Wyszli w ciemną jesienną noc. Głośnym echem odbijały się kroki w uspiętej dzielnicy. Było ich dziewięciu umundurowanych i on jeden w cywilu.

Dolek szedł powoli. Starał się opóźnić pochód. Grał na zwłokę. Zdala zauważył już Artura. Wracał sam.

— Gdzie Ewa?

— Nie wypuszczą jej wcześniej, aż ty będziesz na miejscu.

— Aha — mruknął Dolek. Zrozumiał teraz, że idzie na poważnego. Gmach policji był już niedaleko. Każda chwila miała życiowe znaczenie.

Ważył szanse. Ewę musi stamtąd wyciągnąć. I to natychmiast. Potem uciekną razem. Uplanował już z góry scenę, którą odegra. Zażąda widzenia się z żoną pod pozorem, że chce się z nią pożegnać.

Kiedy będą razem, odda niespodzianie strzał i ucieknie.

O sto kroków zamajaczył budynek milicji. Dolek jeszcze raz lustruje sprawę. W tej ostatniej chwili spostrzega błąd

w swoim planie. Najpewniej nie pozwolą im się porozumieć ze sobą. Może nie zobaczy jej już nawet. Część pierwsza planu zatem odpada. A przy tym nie wiadomo, jak tam będzie wewnątrz, kto go tam oczekuje. Może obrona okaże się tam niemożliwa. Może nie należy czekać. Może to naprawdę ostatnia szansa. Ewę można odbić bez trudu. Już jutro można zrobić zbrojny napad i uwolnić ją. Skoro sam będę na wolności, uda się wszystko. Tylko nie poddać się im teraz. Przystaje nagle w drodze. Sięga ręką do kieszeni. Dziesiątka umundurowana staje nagle zdziwiona⁴⁴). A Dolek najspokojniej wyciąga pistolet i mówi do nich powoli:

— A teraz, chłopcy, uciekajcie, bo strzelam.

Nikt z nich nie miał broni. Był to jeszcze jeden, najdobitniejszy może, wyraz poniżającej pozycji. Byli na usługach rządu i sprawowali władzę nad ludnością dzielnicy. Oddali się w ręce okupanta. Zaprzędali swą duszę po prostu. Lecz chociaż rząd powierzył im zwierzchnictwo nad ludźmi, nie zaufał im na tyle, by ich uzbroić. Poza czapkę i gumową pałką nie posiadali niczego. Więc może nawet nie ma się czemu dziwić, że (zatarte) stale między pogardą a nienawiścią, pogłębiali w sobie tchórzostwo. Bali się jedni drugich. Jednym — wykazywali swój strach służalczym poniżeniem, drugim — wymachiwaniem pałką gumową. Na widok broni palnej drżeli wprost ze strachu.

Więc kiedy teraz usłyszeli słowa: „Bo strzelam!” nogi zalały się pod nimi. W jednym okamgnieniu odwrócili się wszyscy i puścili w ucieczkę co sił. Gdy już poczuli się bezpieczni, gdy stanęli w bramie budynku milicji, obejrzeni się jeszcze raz, dla ratowania honoru czy może dla pokrycia strachu, który trząsł nimi, zawołali:

— Szalencze! Dókd uciekasz?

A on tymczasem zniknął w ciemności.

Zaledwie zamknęły się drzwi za policją, uprowadzającą Dolkę — Romek skoczył na równe nogi i ubrał się pospiesznie. Zrozumiał, że tylko przypadkiem ocalał. Milicjanci byli bo-

wiem zanadto zajęci osobą Dolka, aby zainteresować się tożsamością drugiego człowieka. Należało natychmiast coś przedsięwziąć. Wyszedł szybko z tego mieszkania, w którym każda chwila groziła niebezpieczeństwem. Nie świecąc latarki, by nie zwrócić na siebie uwagi, przekradał się przez podwórze. Przeszedł przez dziurę w płocie, minął mały ogródek i znalazł się pod trzynastką. Jego ludzie nie spali jeszcze. Jeszcze dośpiewywali sobie swą pieśń. Jeszcze mieli sobie powiedzieć to i owo. Dzień wydawał się im zawsze za krótki, czuli zresztą, że zbliża się chwila, w której wszyscy rozstaną się. Żal im więc było każdej chwili, każdej nocy, którą przesypiali. Sen uważali za stratę czasu, więc noce swoje skrócili do kilku godzin. Wieczory ciągnęły się długo, długo, pieśni nie milkły godzinami. Kiedy Romek stanął w drzwiach blade, z zaciśniętymi ustami, pieśń urwała się w środku. Wpili w niego przerażony wzrok. Zamknął za sobą drzwi, nie powiedział ani słowa. Z rękami w kieszeniach przeszedł wyprostowany przez kuchnię, odprowadzony dziesiątkiem przerażonych oczu, wszedł do pokoju, usiadł na łóżku Zygi, zrazu nie mówił nic. Starał się zebrać myśli. Nachylił się ku choremu i coś mu szeptnął do ucha. Ludzie z daleka obserwowali tę scenę. Widzieli całą skalę uczuć, jaka przeżuwała się po twarzy Zygmunta. — Od bezgranicznego zdumienia do przerażenia, poprzez wstrząs do opamiętania się i narzuconego sobie spokoju. Naradzali się przez chwilę. Mówili szeptem. Nikt nie wiedział, co się stało. Wszyscy czekali w napięciu. Wtem Romek powstał i zawołał w stronę kuchni:

— Marysiu!⁴⁵)

Wbiegła od razu. Była też blada. Jej dziecięca twarzyczka wyrażała głęboki niepokój. Oczy jej, jak zawsze kiedy była przestraszona, patrzyły lekkim, pełnym wdzięku zezem.

— Słucham! — powiedziała posłusznie. Przykucnęła przy łóżku.

— Trzeba natychmiast iść do rodziców Dolka. Wiesz, gdzie to jest?

— Oczywiście.

— Po drodze nie świeć latarką. Musisz się raczej zakraść, poruszać się bezszelestnie. Jest tam ukryty materiał.

— W którym miejscu?

Opisał jej szczegółowo wszystko, gdzie co leży. Narzuciła na siebie płaszcz i wybiegła. Po chwili była już za oknami Markiewiczów⁴⁹). Zapukała w szyby. Nikt się nie odzywał.

— Dolek! — zawołała z cicha.

— Żadnej odpowiedzi. Zapukała jeszcze raz. Tym razem mocniej. Z drugiego okna wychyliła się jakaś obca twarz.

— Do kogo się pani dobija po nocy?

— Do Markiewiczów.

— Nie ma ich w domu.

— Mnie chodzi o ich syna.

— To pani nie wie?

— Że co?

— Policja zabrała go przed godziną.

Marysia zaniemówiła. Ogarnęła się jednak w jednej chwili i zawołała:

— Niech mnie pan wpuści! Ja tam muszę wejść! Koniecznie muszę wejść!

Po tych słowach poznali ją. Zachodziła przecież nieraz do Mirki. Otwarto drzwi. W jednej chwili znalazła wszystko. Spakowała cały materiał i znów płotami i ogrodami wróciła pod trzynastkę.

Gdy weszła, wszyscy już wiedzieli, że Dolek został aresztowany. Poznała to od razu, gdy ujrzała głowy pochylone w bezbrzeżnym smutku.

Wyglądało to tak, jakby nastał koniec wszystkiego. Po-deszła do Romka i wręczyła mu cały materiał. Wszystko odbywało się teraz bez słów. Żaden dźwięk nie mógł teraz prze-mknąć się przez gardło. Cisza złowroga wisiała nad izbą, nie wiadomo jak długo. Trwała w bezruchu. Nagle drgnęli. Za oknami rozległ się nagle tupot przyspieszonych kroków. Ktoś przebiegł pośpiesznie pod oknami. Potem znów kroki — jeszcze szybsze, za nimi drugie, trzecie.

Kilkunastu mężczyzn biegło po podwórzu, tam i z powro-

tem. W odgłos kroków wmieszały się nawoływania i gwizd. Zrozumieli wszyscy w lot.

— Szukają Romka — pomyśleli jednocześnie. Zgasili światło. Wstrzymali oddechy. A tam, za oknami, kroki stawały się coraz szybsze. Nawoływanie coraz głośniejsze. Pojęli, że nie ma na co czekać. — Trzeba przede wszystkim ukryć Romka. On musi ocaleć, skoro Dolek... — Tej myśli nie śmieli doprowadzić do końca. Byli zbyt ogłuszeni, by zrozumieć, co się stało. Więc tylko czuli, że muszą ratować Romka, za wszelką cenę go ratować.

Rozebrali łóżko, umieścili Romka pod materacami, nakryli je prześcieradłem, pościelą. Dwójka dziewcząt ułożyła się do snu, jak nigdy nic. Wszyscy zresztą poukładali się do snu. Trzeba było stworzyć pozory, że śpią najzwyczajniej w świecie. Nikt jednak nie zmrużył oka tej nocy. Spodziewali się przecież, że lada chwila otworzą się drzwi i cały oddział milicji wpadnie do mieszkania. A wtedy pójdą wszyscy, ale Romka nie wydadzą, za nic w świecie.

Nie wiedzieli nic o tym, że ten pościg spowodowany został ucieczką Dolka. Gdy dziesiątka milicjantów stanęła na posterunku bez więźnia, kazano im natychmiast puścić się w pościg. Nie wolno im było wrócić bez niego. Cała policja została zmobilizowana w poszukiwaniu. Ghetto zostało przetrząsnięte. Najdłużej trwały poszukiwania w tym bloku domów, gdzie mieszkali Markiewiczowie. Było tam zakamarków, podwórzy i ogródków bez liku. Całą noc uganiali się między domami, oświetlali latarką każdy kąt, musieli go przecież znaleźć. Było dla nich hańbą, że on jeden uciekł — im dziesięciu. I kiedy minął im pierwszy paroksyzm strachu, poszli w pięćdziesiątkę na odważniejszego.

A tam w izbie pod trzynastką ludzie czekali z zapartym tchem. Raz po raz świecono im w okno, kroki zbliżały się i oddalały. Nawoływania milkły i wzmagaly się na nowo. Każdej chwili zdawało się, że już, już otworzą się drzwi. Byli tak blisko nich. A znali przecież tę trzynastkę od dawna. Nie było nic prostszego, jak wejść i zagarnąć ich wszystkich.

Nie weszli jednak. Ominęli ten dom, tak dobrze im znany,

tak zawsze pełen młodzieży. Czemu to przypisać? Naprawdę nie wiadomo. Chyba temu, że po wstrząsającym incydencie z Dolkiem postradali głowy.

W zamieszaniu działali niedołącznie. Po stokroć świecili w to okno, ani razu jednak nie spostrzegli nic podejrzanego. Popłoch opuścił im zasłonę na oczy. Nad ranem kroki przycichły, odeszli. W izbie czekali jeszcze godzinę. Może jednak powrócą. Ale był spokój. Nikt nie zajrzał więcej.

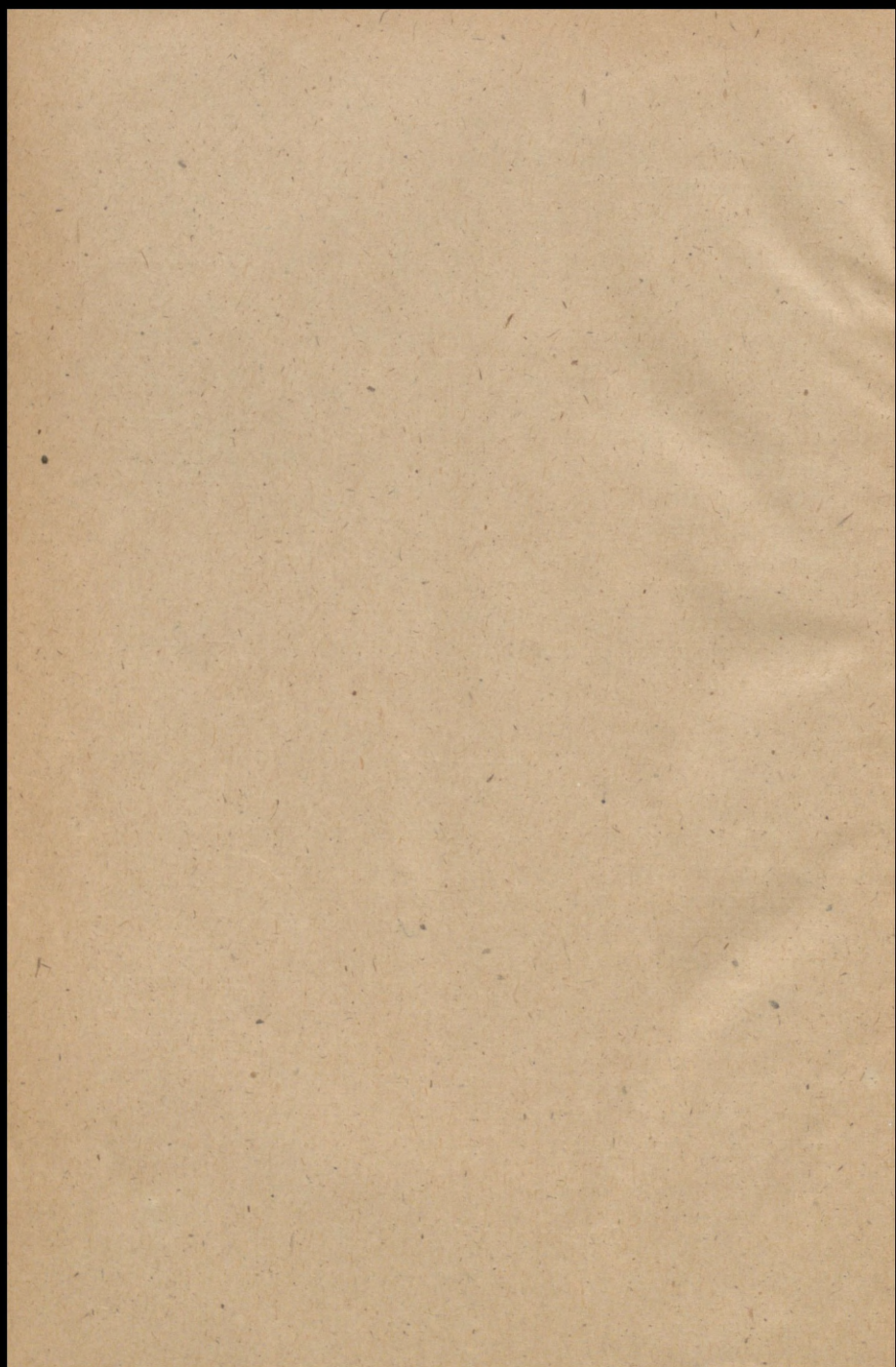
Świt już szarzał przed oknami. Trzeba było wstać, ubrać się. Nikt się jednak nie ruszył. Nikt się nie kwapił do tego, by wstać z posłania, choć byli zagrożeni, choć życie pod trzynastką straciło cały swój urok. Nie chcieli opuścić tego ostatniego w życiu domu. To były ostatnie chwile pod własnym dachem. Ostatnie w serdecznej gromadzie.

Pierwszy brzask zakradał się przez szyby. Poczęli powoli dźwigać się z posłań. Rozpoczął się nowy dzień — ponury, ciężki dzień.

WSTAWKA

Nie było zdaje się ani jednego człowieka w ruchu, któryby tu nie spędził choćby jednego wieczoru. Ani jednego, poza Justyną. Jej jednej nie było dane zaczerpnąć tego życia ustokrotnionego, w którym godziny układały się w barwną mozaikę. Każdy, kto tu zaglądał, czerpał pełnym haustem. I wynosił hojną dłoń. Wnosił przede wszystkim siebie, ze wszystkimi bogactwami swej duszy. Każdy, kto wyjeżdżał, pozostawiał za sobą jasną smugę wspomnień, czy w myśli niespodzianie rzuconej, czy w pieśni pięknie zaśpiewanej, czy w żarcie powiedzianym od niechcenia, każdy budował swą osobą to wspólne, piękne życie.

(Na tym pamiętnik się urywa)



OBJAŚNIENIA

1) Witek a raczej mały Ituś, pięcioletni siostrzeniec Justyny, był ulubieńcem grupy bojowej. To dziecko wzyło się w konspiracyjny tryb życia. Nieraz, Marek lub Justyna zabierali go ze sobą, mieszkali z nimi i dopomagał im w upozbrowaniu małżeństwa z dzieckiem.

2) Draenger Symek, mąż Justyny.

3) Wulf Józef, delegat kierownictwa na powiat Bocheński.

4) Liebeskind Adolf (Dolek).

5) Kopaliny między Nowym Wiśniczem a Bochnią (vide wstęp str. 9 i 10).

6) Wodzisławski Hilel z Wiśnicza Nowego, subtelny, romantyczny młodzieniec. Po ucieczce Symka i Gusty z Montelupich — główny organizator grup partyzanckich. Romantyk okazał się świetnym bojowcem. Zginął w październiku 1943.

7) Spritzer Hanka, siostra szpitalna, organizowała nieraz pomoc lekarską dla rannych. Wywieziona do Oświęcimia 19 stycznia 1943. Tam zginęła.

8) Johannes Bernard.

9) Leibowicz Abraham (Laban).

10) Eisenstein Maniek, wpadł w ręce policji w pierwszej fazie działalności grupy. Zginął dnia 20. III. 1943.

11) Tennenbaum Juda (Idek). Zginął dnia 24, XII. 1942.

12) Weksner Baruch, należał do pierwszej piątki, która poszła do lasu — zginął.

13), 14), 15) Weiss Edwin, Kanał Salo, Mahler Zygmunt, członkowie pierwszej piątki, która wyruszyła do lasu. Zginęli wszyscy.

16) Schipper Hela, jedna z najlepszych łączników kierownictwa.

17) Liebeskind Mirjam, siostra Dolka, zastrzelona w Radomiu w styczniu 1943.

18) Draenger Szchora (Ceśka), siostra Symka, piętnastoletnia dziewczyna, która w pracy odznaczała się bystrością i oddaniem sprawie. Zginęła dnia 19 marca 1943.

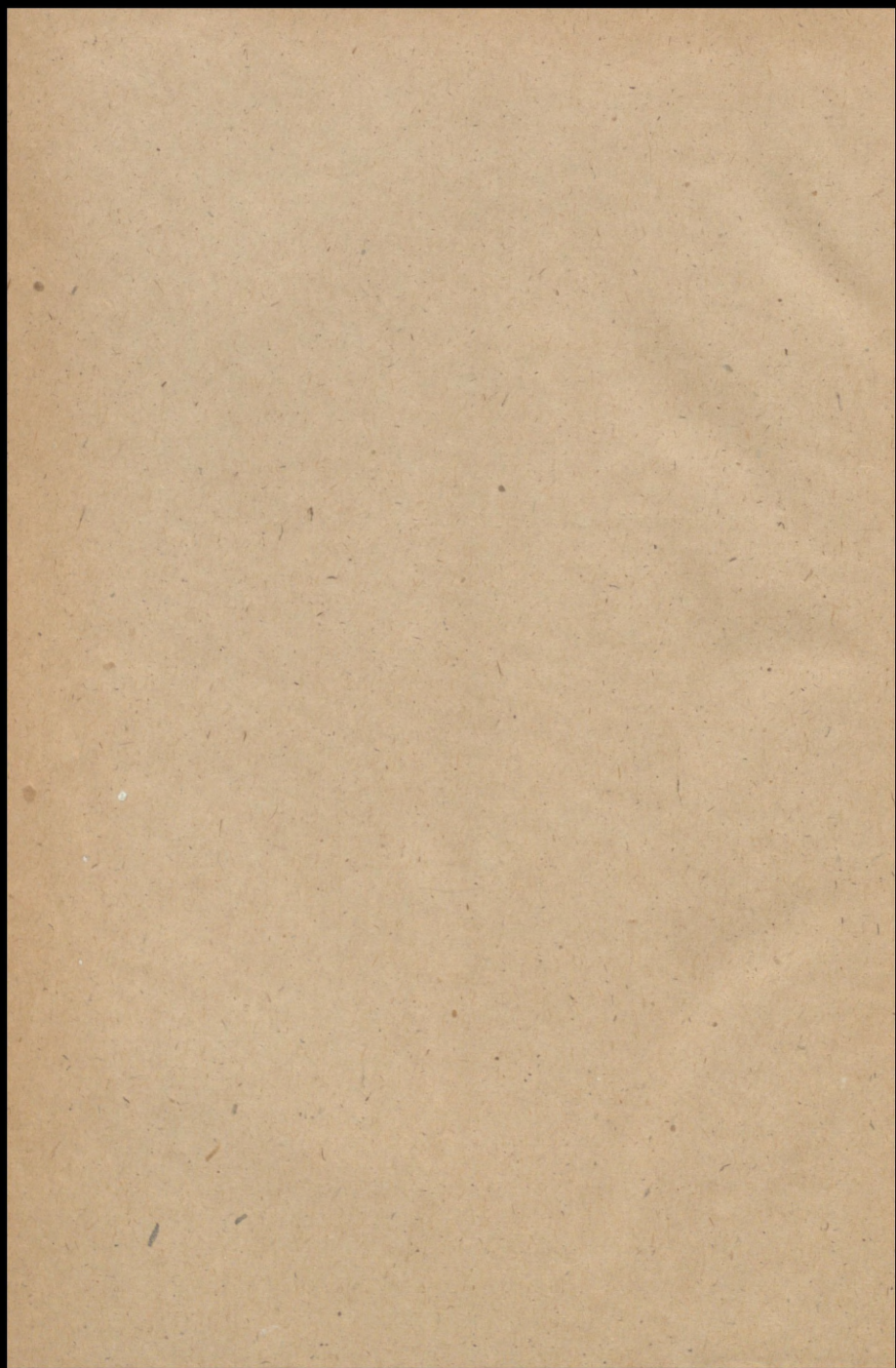
19) Wassermann Leopold: jeden z łączników kierownictwa.

20) Liebeskind-Spiner Ewa, żona Dolka, jedna z najbardziej bohaterkich kobiet grupy bojowej. Zwłaszcza po aresztowaniu Dolka wykazała dużo hartu. Wysłano ją 19. I. 1943 do Birkenau.

- 21) Mirer Gola, zginęła.
- 22) Sternlicht Chaim, zginął.
- 23) Szmerłowicz Juda, zginął.
- 24) Rubinek Halina, łącznik Dolka, 19-letnia dziewczyna, która z wielkim samozaparciem pracowała na swoim odcinku. Zginęła dnia 19 marca 1943.
- 25) ul. Wielopole 26.
- 26) Goldberg Aleksander, zginął dnia 29 kwietnia 1943 podczas ucieczki z Montelupich.
- 27) Wortsman Gena, wywieziona do Oświęcimia 19 stycznia 1943. Tam zginęła.
- 28) Gottlieb Samuel (Milek), kierownik pierwszej bojowej drużyny. Padł w lesie.
- 29) Bochnia. Do tamtejszej grupy należeli: Berkowicz Jakób, Goldwasser Pola, Gurenreich Szaja, Laufer Hlrez (Guttmann), Lustgarten Szymon (Szymon Wesoly), Łapa Elza, Otter Róza (Goldwasser), Pariser Natan, Schneider Helena, Schreiber Szalom, Schreiber Szymon, Schreibtsfel Izrael (Władysław), Weinfeld Uszer, Wiener M. Wimberger? (nazwiska dokładnie nie pamiętam J. W.) Towa, Wodziałowski Hilel (Antek), Wulf Józef (Józek).
- 30) Schreibtsfel Izrael, młody dramaturg, napisał dramat o Ż. O. B. p. t. „Rabi Akiba”. Zginął w Mauthausen.
- 31) Fischer Anka, zginęła.
- 32) Dembus Samuel (Samek).
- 33) W Rabce.
- 34) Blas Hanka. Zastrzelona w kwietniu 1943 w Bochni.
- 35) Łapa Elza.
- 36) Stark Towa (Tośka), zginęła.
- 37) Józefińska 13, w mieszkaniu Szymona Lustgartena był punkt Ż. O. B. w krakowskim ghetcie.
- 38) Pariser Natan, zginął.
- 39) Stockhammer Gizela, zginęła.
- 40) Fuchs Towa, zginęła.
- 41) Monderer Henryk, zginął.
- 42) Feuerstein Regina, zginęła.
- 43) Lefler Artur, milicjant (Ordnungsdienstmann), który z ramienia gestapo tropił członków Ż. O. B. krakowskiego.
- 44) Bardzo głośna sprawa w ghetcie krakowskim.
- 45) Brenner Minka, zginęła.
- 46) „Aryjskie” nazwisko rodziców Doika Liebeskinda.

TREŚĆ

	Str.
I. Od Redakcji	7
II. Wstęp	9
III. * * *	21
IV. Pamiętnik Justyny	23
V. Objasnienia	115



**W SERII „KSIĄZKI WOJEWÓDZKIEJ ŻYDOWSKIEJ KOMISJI
HISTORYCZNEJ W KRAKOWIE”**

ukazały się:

„Dokumenty Zbrodni i Męczeństwa”. Antologia autentycznych zeznań świadków. Książka obejmuje działy: 1) W obozach, 2) Po miastach i miasteczkach, 3) Dzieci opowiadają. Str. 222 + XVI.

Z kolei ukażą się:

MICHAŁ M. BORWICZ: „Uniwersytet Zbirów”. Rzecz o obozie „Janowskim” we Lwowie.

RUDOLF REDER: „Bełżec”. Rzecz o grobie milionów Żydów, jedynego ocalonego z komory gazowej w Bełżcu.

M. GEBIRTIG: Pieśni ghetta.

JANKA H.: W ghetcie i obozie (Pamiętnik dwunastoletniej dziewczyny).

MICHAŁ M. BORWICZ: Literatura w obozie.

RÓŻA BAUMINGER: Skarżysko Kamienna (obóz).

LAURA EICHHORN: Szepnie (obóz).

JAKUB STENDIG: Płaszów (obóz).

W przygotowaniu:

Monografia o Żydach w Krakowie pod okupacją (Praca zbiorowa).



Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej

1442/2



12-001442-000-0